

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 25 czerwca 1950 r.

Nr 25 (239)

Wojciech Kętrzyński

KATOLICY POLSCY WOBEC AKCJI SZTOKHOLMSKIEJ

W dniu 16 bm. odbyło się w Warszawie staraniem Towarzystwa Przyjaciół KUL zebranie poświęcone sprawie obrony pokoju.

Na zaproszenie organizatorów zebrania współpracownik naszej redakcji i przedstawiciel Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju Wojciech Kętrzyński wygłosił następujące przemówienie:

Pragnę wyrazić wdzięczność organizatorom dzisiejszego zebrania. Zarządowi Warszawskiemu Towarzystwa Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, za zaproszenie mnie, jako przedstawiciela Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju, do zabrania głosu w tej niezmiernie ważnej dyskusji.

Występując tu, wobec Sz. Słuchaczy, chciałbym móc równocześnie wydobyc z problematyki pokoju dwa akcenty zasadnicze — jako przedstawiciela Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju, jako obywatel, zaangażowany czynnie w aktualnej problematyce politycznej swego kraju — pragnąłbym sprzecyzować — czego wymaga od nas polska racja stanu, na odcinku walki o pokój, jako katolik zaś, pragnący w swej działalności nie zacierać konsekwencji chrześcijańskiej postawy światopoglądowej, pragnąłbym podkreślić specjalną rolę jaką w akcji pokoju przypada pełnić właśnie środowiskom katolickim.

Tę podwójną rolę ułatwia mi fakt, że zasady działalności Międzynarodowego Ruchu Obróńców Pokoju przewidują udział w nim przedstawicieli różnorodnych orientacji, tak ideologicznych, jak i światopoglądowych. W tej akcji mieszczą się obok siebie więc zarówno poglądy marksistów i poglądy katolików, poglądy zwolenników różnych ustrojów politycznych i gospodarczych. Dopuszczalne więc są daleko idące rozbieżności postaw i poglądów, pod warunkiem, by wszyscy konsekwentnie dążyli do zlikwidowania groźby wojennej, do przeciwstawienia się tym, którzy dziś konsekwentnie pragną tę groźbę wprowadzić w czyn.

„Ruch Obróńców Pokoju — mówi uchwała powzięta w Sztokholmie — musi się oprzeć na najszerzej bazie wszystkich ludzi, pragnących pokojowego współżycia. Musi dążyć do przyjęcia takich form organizacyjnych, które pozwolą w nim uczestniczyć każdemu obywatelowi walczącemu o pokój, bez względu na zachodzące różnice przekonań!

Konsekwentnie, wystosowany na tej samej sesji sztokholmskiej apel do wzięcia udziału w pracach międzynarodowego Ruchu Obróńców Pokoju wzywa do współpracy „wszystkie zbiorowości społeczne, wyznaniowe, kulturalne, wszystkich uczciwych ludzi, jakiegokolwiek by były ich przekonania, ce do przyczyn ist-

niejących napięć międzynarodowych a pragnących rzetelnie przywrócenia pokojowego współżycia między narodami”.

By osiągnąć to założenie, by umożliwić współdziałanie najszerzego wachlarza przekonanych politycznych i światopoglądowych — Ruch Obróńców Pokoju stawia sobie zadania konkretne, ściśle związane z aktualnymi problemami chwili, które powinny być jednakowo bliskie każdemu człowiekowi. Tak więc w chwili obecnej stoją przed nami dwa zasadnicze zadania: przeciwstawić się kategorycznie sugestiom, z jakiegokolwiek strony by one wychodziły, że broń atomowa może być uważana za doskonały środek walki w nowoczesnej wojnie oraz zwalczać powstającą w niektórych społeczeństwach psychozę o nieuniknioności wojny, zwalczyć rzeczywistych propagatorów tej psychozy, wychodząc z założenia, że jednym z zasadniczych warunków dla każdego planu wojennych — to wytworzenie w społeczeństwie przeświadczenia, że wojna jest nieunikniona.

Oba te cele uznane są dziś przez obiektywne i wysokie autorytety międzynarodowe jako pierwszorzędne i wspólne dla całej ludzkości. Przeciw wszelkim próbom użytkowania do celów wojennych energii atomowej zapadła ostatnio głośna rezolucja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, przeciw sianiu psychozy

wojennej występował czynnie wielokrotnie Generalny Sekretarz Narodów Zjednoczonych — Trygve Lie, reprezentujący autorytet meża stanu, zajmującego kluczowe stanowisko, a jednocześnie dążącego konsekwentnie do zachowania pełnego obiektywizmu w sprawach światowej polityki.

Wydaje mi się niemożliwe, by uczciwy i rozsądny człowiek, jakiegokolwiek by był jego przekonania, nie poparł generalnego stanowiska zajętego przez Międzynarodowy Ruch Obróńców Pokoju. Jest ono słuszne i odpowiada kardynalnym interesom ludzkości.

Pozostaje rzecz oczywista, problem politycznej wymowy tych właśnie kardynalnych postulatów w chwili obecnej. Oczywiście nie jest ona obojętna. Gdyby Ruch Pokoju miał się ograniczyć do deklaracji, tak jak to uczynił Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, wówczas mógłby zajmować stanowisko bezwzględnie apolityczne. Z chwilą jednak, gdy Ruch Pokoju dąży konsekwentnie nie tylko do zadeklarowania swego stanowiska, lecz i do wprowadzenia go w życie — umiejscawia się politycznie, jakkolwiek ruch ten nie zajmuje się osądzeniem po czyjej stronie jest racja w dziejącym się obecnie międzynarodowym konflikcie — to rzecz prosta, jest atakowany bezwzględnie przez tych wszystkich, którym krzyżuje aktualne plany militar-

no-wojenne. Ten jednak, który w chwili obecnej nie chce się wypowiedzieć w obronie zasady pokojowego rozwiązywania konfliktów międzynarodowych w obawie przed politycznymi konsekwencjami takiego oświadczenia, postępuje niemoralnie, gdyż cofa się przed obowiązkiem publicznego głoszenia ważnych dla ludzkości prawd.

Dla nas Polaków, problematyka pokoju jest jeszcze bardziej jednoznaczna. Nie ma dwóch konkurencyjnych idei pokoju, które można by sobie przedstawić. Dla nas, w Polsce, pokój wiąże się ściśle z gwarancją aktualnie nam niezbadanych, a potwierdzonych ideą sprawiedliwości warunków. Dla Polski, po tak ciężkich latach w tych latach poniesionych — pokój — oznacza możliwość spokojnej pracy nad odbudowaniem naszego życia materialnego, społecznego i kulturalnego. Pokój, to oznacza gwarancję, że stan posiadania Narodu polskiego nie zostanie uszczuplony, że Ziemia Zachodnie, w zgodnym przeświadczeniu całego narodu Polsce przynależne, nie będą ani odrywane, ani nawet kwestionowane przez protektorów wczorajszych hitlerowców. Pokój wreszcie — to w kraju atmosfera odprężenia, które, jak to dowodzi zawarte porozumienie między przedstawicielami naszej Hierarchii i Rządu RP możliwe jest wówczas, gdy żadne zewnętrzne siły, wrogie interesom polskim nie prowadzą w kraju dywersyjnej dzia-

lności, nie rozdmuchują trudności, które własnym wysiłkiem Polaków umiemy dziś rozwiązywać. Pokój więc, dla nas w Polsce, to nie tylko górnoletne i szlachetne pojęcie, ale to obrona konkretnych stanowisk, spraw dla przyszłości Narodu najbardziej życiowych.

Tak pojęta obrona pokojowych interesów naszego Narodu wymaga już, rzecz oczywista, zajęcia stanowisk, posiadających swe polityczne konsekwencje. Każdy, kto ma oczy otwarte na to co się w świecie dzieje, wie dobrze, że zajęcie stanowiska w obronie Ziemi Zachodnich — jest wypowiedzeniem się przeciw polityce tych, którzy pragną dziś dla własnych celów, odbudowywać militarystyczne i agresywne Niemcy sprzed 1939 r. Każdy wie, że dążenie do zagwarantowania spokoju wewnętrznego w kraju, przeciwstawia się polityce tych wszystkich, którzy od 1944 r. pragną uczynić z Polski teren nowej wojny domowej. Każdy, kto popiera odbudowę kraju musi sobie uświadomić, że działa przeciw planom tych, którzy pragną, by Polska pozostała w dalszym ciągu półkolonialnym krajem rolniczym, dostarczającym taniej żywności w zamian za obcą tandetę przemysłową.

Jeśli Ruch Obróńców Pokoju, w imię celów najistotniejszych gotów jest w pewnym stopniu przejść do porządku dziennego nad poglądami politycznymi poszczególnych swych członków, to Polska racja stanu wymaga sprzecyzowania, że my wchodzimy do Ruchu Pokoju z kompletnymi politycznymi postulatami.

W tej samej płaszczyźnie polskiej racji stanu musimy uzmysłowić sobie, że gwarancją pokojowego współżycia, gwarancją szanowania praw Polski do własnego terytorium i do swego programu odbudowy jest międzynarodowa pozycja Związku Radzieckiego. Jego siła i jego autorytet bronią dziś tych niezwykle istotnych interesów Polski. Dlatego nie możemy się godzić na takie sformułowania międzynarodowego pokoju, któreby atakowały kardynalne interesy naszego najpotężniejszego sprzymierzeńca.

Polska racja stanu więc, nie narzucając nam żadnych sformułowań ideologicznych czy światopoglądowych, precyzuje warunki skutecznej obrony pokoju dla naszego kraju.

Tak samo, jak jest naszym obowiązkiem podporządkowywać się sprawiedliwym wymogom polskiej racji stanu, tak samo pragniemy zachować sobie wszelką możliwość realizowania jej w ramach naszego, chrześcijańskiego światopoglądu, naszych własnych kategorii ideowych.

(dokonanie na str. 2)

Rezolucja katolików w obronie pokoju

W dniu 16 bm. odbyło się zebranie Towarzystwa Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego poświęcone sprawie pokoju, na którym uchwalono rezolucję, w której czytamy:

Wobec wzmagającej się na całym świecie propagandy wojennej, katolicy uważają za konieczne poparcie wysiłków, zmierzających do utrwalenia pokoju i przeciwstawienia się równocześnie wszelkim dążeniom, zmierzającym do wywołania wojny.

Z nauki Kościoła Katolickiego wynika jasno, że wojna jest złem, a natężenie tego zła potęguje w obecnych warunkach możliwość użycia środków masowego niszczenia. Uchwała podjęta przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż dała w sposób jasny wyraz obawom, że w wypadku użycia broni masowego niszczenia niemożliwa będzie zagwarantowana przez obowiązujące umowy międzynarodowe jakakolwiek akcja, zmierzająca do niesienia pomocy nie tylko żołnierzom, ale również matkom, starcom i dzieciom.

W tym stanie rzeczy katolicy, zgodnie z nakazami wiary i sumienia, opowiadają się przeciw używaniu broni masowego niszczenia, a w szczególności przeciwko używaniu bomby atomowej i zdecydowanie popierają wysiłki milionów ludzi, którzy w odpowiedzi na apel sztokholmski uważają, że sprawcy użycia broni atomowej potraktowani być muszą jako winni zbrodni ludobójstwa.

Mając na względzie, że utrwalenie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie, służy w pełni sprawie utrwalenia pokoju, zebrani w dniu dzisiejszym katolicy, wyrażając swoje zadowolenie z osiągniętego w tej sprawie porozumienia pomiędzy Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną, równocześnie deklarują nieugiętą wolę obrony tejże granicy przed zakusami zachodniego rewizjonizmu.

(dokończenie ze str. 1)

Tej sprawie, jak widzimy, służy właśnie zawarte porozumienie między Kościołem a Państwem w Polsce, precyzując ogólne zręby na podstawie których uznane są przez katolików ogólne zasady polskiej racji stanu, ze strony zaś Państwa elementarne interesy katolicyzmu w Polsce. Jakkolwiek wiemy dobrze, że pełna realizacja założeń porozumienia wymaga jeszcze dużego wkładu pracy i wysiłków obustronnych, to sądzimy, iż jego pierwszym warunkiem jest czynne udowodnienie przez katolików, że aktualną rację stanu Polski rozumieją i popierają, realizując postulaty zawarte w samym tekście porozumienia.

Mimo, iż doktrynalne stanowisko Kościoła Katolickiego, będące zaprzeczeniem wszelkiego gwałtu i bezprawia, więc także i wojny, jest powszechnie znane — trzeba sobie uświadomić, że społeczność katolickie są obiektem specjalnie usilnej propagandy wojennej. Wygrawając istniejące we współczesnym świecie różnice światopoglądów — przywódcy obozów polityki militarystycznej i agresywnej pragną masę chrześcijańskie zmobilizować po własnej stronie, nie zważając na straty tak moralne jak i materialne na jakie taka polityka naraża w pierwszym rzędzie katolicyzm. Musimy tu sobie szczerze powiedzieć, iż bywają środowiska katolickie podatne na tę „kruczatową” propagandę ulegającą czy to złudnym obietnicom, czy po prostu własnej małodusznej obojętności, że katolicyzm nie posiada własnych środków broniących swych przekonań.

Analizując ten właśnie problem w jego polskim aspekcie — mówiąc w Sztokholmie — „Chrześcijaństwo będąc spieracem się z marksistami podtrzymując poglądy przeciwnie materializmowi. Utwierdzać będąc prymat Boga w umysłach ludzkich, zapewnią obecność i pozytywny wkład chrześcijański w budowę przyszłego świata. Jest to jednak ich oczywistym obowiązkiem by odrzucać z całą stanowczością wszelkie sugestie, zmierzające do podporządkowania tych wielkich zagadnień interesom grupki moralnych bankrutów”.

Wydaje mi się, że jest to jedyna pozycja, którą katolicy mogą i powinni zajmować w stosunku do Ruchu Pokoju. Odrzucać wszelkie propozycje pójścia na czyjałowiek służbę, bronić swoich własnych pozycji światopoglądowych i bezwzględnie poprzeć walkę o pokój w tych ramach jakie dyktują interesy własnego narodu, rozumiane praktycznie i aktualnie.

Wielka akcja zbierania podpisów pod apelem sztokholmskim, domagającym się zakazu użycia energii atomowej do celów wojennych i postawienie ewentualnego pierwszego agresora atomowego poza prawem — jest zgodną z kardynalnymi zasadami aktualnej racji stanu. W swych założeniach jest po prostu wyrazem wielkiej troski o przyszłość ludzkości.

Jeśli autorytet Kościoła Katolickiego nie powinien się angażować w akcje nie dotyczące bezpośrednio Jego misji to niemniej każdy katolik, czy duchowny, czy świecki może i powinien zademonstrować swoją solidarność z zasadami polskiej racji stanu, mając jednocześnie pełne prawo, tak samo jak uczyniłem to w Sztokholmie, podkreślenia zachodzących różnic światopoglądowych. Nie uczynienie tego stwarza szkodliwy dla interesów Kościoła stan konfliktu między postawą katolika a racją stanu Polski. Jeśli zaś uczynienie tego kroku powoduje w ostateczności konsekwencje polityczne, to sądzę, że nie większe niż te, które

Stanisław Stomma

„PAMIĘTNIK WIEJSKIEGO PROBOSZCZA“^(*)

Georges Bernanos to we Francji już drugie pokolenie katolickich pisarzy „zbuntowanych”, pisarzy, których twórczość stoi w konflikcie z uartymy kryteriami ich środowiska katolickiego, jeżeli już wręcz nie jest dla otoczenia tego skandalem. Pokolenie pierwsze to przede wszystkim Leon Bloy i Charles Peguy. Bernanos znalazł się też w podobnej sytuacji. Chociaż — jeśli tak można powiedzieć — opozycyjność jego ma charakter odmienny. Bernanos nie jest heroldem buntu społecznego. Ale zgorznienie, które twórczość jego w pewnych środowiskach wywołuje, sprowadza się ostatecznie do tego samego źródła. Ludzie tych środowisk społecznych, które reagowały nań zgorznięciem, określał Bernanos terminem „Bien pensants”. Typ postawy psychicznej określanej dziś epitetem „burżujstwo”, typ w dużym tylko przybliżeniu odpowiadający pojęciu klasy mieszczańskiej.

Bernanos to pisarz głębin katolicyzmu. Poruszając jakiegokolwiek zagadnienia, sięga w głąb. A sięgając do podstaw chrześcijaństwa, musi wykazywać często zło żoność i trudność prawdy. „Bien pensants” natomiast akceptują katolicyzm pod warunkiem, że będzie go można ująć jako doktrynę optymistyczną i łatwą. Przy takich założeniach twórczość Bernanosa musi być dla nich skandalem.

Aby móc znaleźć klucz do zrozumienia twórczości Bernanosa, dwa szczególnie momenty trzeba wziąć pod uwagę. Przede wszystkim — jak powiedzieliśmy — jest on pisarzem głębin katolicyzmu. Po wtóre Bernanos reprezentuje w twórczości katolickiej pewien typ psychiczny i pewien kierunek ideowy, który można by scharakteryzować jako „średniowieczny”. Bernanos jest jakby reprezentantem myśli średniowiecznej we współczesnej literaturze katolickiej.

Scierają się ze sobą w chrześcijaństwie dwa nurty ideowe, odpowiadające dwóm odrębnym postawom psychicznym. Nurt pierwszy, wyprowadzający się genetycznie

powodowały wystąpienie biskupów i duchowieństwa francuskiego w obronie strajkujących robotników.

Ważkie słowa, wypowiedziane dziś przez J. E. Ks. Biskupa Choromańskiego, pragniemy przyjąć jako zapewnienie, że Episkopat Polski w zasadzie nie sprzeciwia się akcji Apelu Sztokholmskiego, lecz, że nawet jej cele merytoryczne docenia, pragnąc je poprzeć. Wierzę, że głosy, które dziś usłyszeliśmy w tej sali, przyczynią się do wyjaśnienia nieporozumień i niepokoju, powstałych na tle wstrzymania się od podpisywania apelu przez część duchowieństwa.

Pragnę tu wyrazić moje najgłębsze przekonanie, że stanowisko ogółu katolików polskich, za równo duchowieństwa, jak i świeckich, nie odbiega merytorycznie od postawy, której wyrazem są nasze dzisiejsze obrady. Trudności, niepokoje, pożałowania godne zjawy wylły się jako skutek opóźnienia i zbyt długiego milczenia. Mamy na dzieje, że atmosfera nieporozumienia zostanie zatarta przez konsekwentne stosowanie w życiu polski zasad porozumienia, obowiązujące zarówno Hierarchię Kościoła Katolickiego, jak i Rząd Polski dla dobra całego Narodu.

Wojciech Kętrzyński

z filozofii platońskiej, określamy jako średniowieczny, drugi zaś, który znalazł mocną podbudowę w tomizmie, charakteryzujemy jako humanistyczny. Kierunek średniowieczny bardzo mocno podkreśla prymat duszy, głosząc swego rodzaju dualizm natury ludzkiej. Dusza wedle tego poglądu jest jakoś uwięziona w ciele. To też ciało jako owo więzienie duszy traktowane jest mniej lub więcej ujemnie. Dla humanizmu natomiast chrześcijańskiego natura ludzka jest substancjalną jednością duszy i ciała. Przez to podkreślona zostaje wielka godność cielesnej części natury. Otóż w tym sensie Bernanos jest przedstawicielem kierunku średniowiecznego. I to jest drugi moment niezmiernie istotny dla zrozumienia jego postawy.

Ale strzec się należy naiwnego, uproszczonego przeciwstawienia: średniowiecze — humanizm. Antyteza ta nie jest zupełna. Jak przekonująco wykazuje szwedzki myśliciel Nordström, średniowiecze było w dużej mierze humanistyczne. I nie chodzi tu tylko o takie odosobnione fragmenty jak np. szkoda w Chartres czy filozofia św. Tomasza. Epoka średniowieczna była okresem gromadzenia rezerw dla przyszłego rozkwitu humanizmu. W średniowieczu tkwił immanentnie załazek humanizmu. Gdzie jest prawdziwa miłość — *caritas*, tam w jakiejś formie musi być humanizm. A autentyczne chrześcijaństwo to autentyczna miłość. W tej mierze, w jakiej średniowiecze było autentycznie chrześcijańskie, kryć w sobie musiało ten jakościowy załazek humanizmu. I to samo też dotyczy twórczości literackiej Bernanosa. Twórczość ta w charakterze swoim zasadniczo średniowieczna, kryje w głębi bardzo istotny rdzeń humanizmu. W jaki sposób rozwiązuje Bernanos ów paradoks? Jak się to dzieje, że twórczość jego średniowieczna z ducha ma także mocny akcent humanizmu?

O. Mennessier bardzo trafnie ocenił kiedyś w „Verbum” ideową koncepcję twórczości Bernanosa: Dawcy pokoju muszą sami cierpieć. Aby być apostołem pokoju, aby móc go innym w dusze wlewać, trzeba na siebie przyjąć krzyż cierpienia. Nie realizuje się chrześcijaństwa za darmo i cena jego nie jest mała. Ale są wyjątkowe powołania dusz świętych, które cenę cierpienia płacą za innych. Właściwością wielu dusz świętych jest wrażliwość szczególna na nędzę tego świata i cierpienie z powodu tej nędzy. Prawo to bardzo dobrze znane jest artystycznej intuicji Bernanosa. Cierpienie z powodu tej nędzy jest Golgotą jego bohaterów. Odczucie nędzy połączone z miłością dają razem przeżycie litości. Bohaterowie Bernanosa pełni są miłosierdzia. W tym pełnym miłosierdzia spojrzeniu na świat staje się jakoś humanistyczny.

I oto paradoks szczególny „Wiejskiego Proboszcza”. Sam będąc typem człowieka średniowiecznego, w swym miłosierdnym spojrzeniu na świat staje się humanistyczny dla bliźnich i dla świata. I to jest jeden z najgłębszych paradoksów prawdziwego chrześcijaństwa. Pełen surowości i samozaparcia, jest Proboszcz Wiejski dla innych pełen ciepła, dobroci i przebaczenia. W ludziach, nad którymi się pochyla, przełamuje usiłując ich twardość wewnętrzną, bu-

dząc pełne ludzkości spojrzenie na życie. Czyż nie wymowną ilustracją tych współistniejących kontrastów jest scena, gdy Wiejski Proboszcz bez namysłu wkłada rękę do ognia, aby uratować bląhą pamięteczkę po dziecku, którą hrabina rzuca w płomień symbolicznym gestem rezygnacji i ofiary.

Pisarz głębin katolicyzmu nie może cieszyć się masową popularnością i spotykać się tylko z aplauzem. Bernanos także i w Polsce spotkał się z opozycją. Mówi się, że książki jego nie są wychowawczo twórcze. Tak uważają ludzie, którzy wychowawczy sens książki rozumieją tylko jako tendencję uwypukloną wyraźnym mowałem dydaktycznym. A właśnie zaletą książki Bernanosa jest brak tendencji pozaartystycznej i brak wulgarnego moralizatorstwa. Ale to tylko pogłębia istotną wartość wychowawczą jego twórczości. Nie dostrzegają tego wszakże czytelnicy, zwolennicy wulgarnego dydaktycznej tendencji w książce.

Twierdzenie, że postać Wiejskiego Proboszcza jest nieprawdopodobna, że się takich księży nie spotyka itd., nie mają żadnego znaczenia. Jak słusznie zauważa O. Mennessier, Bernanos nie pisze żywotów świętych, ale chce przedstawić coś z dramatu świętości. To jest właśnie sedno rzeczy: **coś z dramatu świętości**. Bernanos wybiera jakiś epizod z eposu świętości, epizod ten rzutuje na całość powieści i przedstawia z zupełną wiernością. Każdy fragment wybrany jest w pełni prawdziwy.

Otóż „Pamiętnik Wiejskiego Proboszcza” to także jeden fragment zagadnienia świętości. A miało być problem wierności Łasce. Epopeja pokornej wierności Łasce.

Kapłaństwo Wiejskiego Proboszcza jest kapłaństwem doskonałym, jest szczytem realizacji powołania. Bo jest on narzędziem Łaski w stopniu niezwyklej wierności. Jest niczym więcej jak „przezroczystym” narzędziem Łaski. Ale oplaca to ofiarą własnego życia. I to jest dramat życia bohatera Bernanosa. Życie w porządku nadprzyrodzonym triumfalnie urzeczywistnione, a tak zupełnie nieudane w porządku ziemskim.

Zarysowanie tego kontrastu jest średniowiecznym rysem książki. Bernanos wiernie przedstawia tu prawdę wybranych dróg i szczególnych powołań. Dawcy pokoju muszą sami cierpieć. Ta prawda chrześcijaństwa jest z istoty rzeczy „średniowieczna”.

Trudno o obraz życia bardziej nieudane. Syn pijaka, nieśmiały, chorowity, towarzysko i kulturalnie niewyrobiony. Żadnej z podjętych prac nie jest w stanie uwieńczyć sukcesem. Pomimo osobistej świętości i ofiarności bezgranicznej przez parafian raczej mało lubiany, pomawiany nieślusnie o nałóg pijaństwa. Wiejski Proboszcz Bernanosa zdaje sobie sprawę z tego, że życie jego jest nieudane. I nawet przeżywa chwile buntu. Przy spotkaniu z młodym hrabią Olivier, patrząc na jego wspaniałą maszynę drzącą miarowo w takt uderzeń motoru, przeżywa chwile olśnienia, ukazującą mu tragizm zmarnowanego życia. I wielką gorzyc żalu, że nawet naiwne marzenia lat dziecińczych o własnym motocyklu nie będą nigdy urzeczywistnione. Jazda na motorze z hr. Olivier jest jedynym przebłyskiem ziemskiej radości życia. Radości jakże wiel-

kiej, jak oszałamiającej, ale krótkiej jak mgnienie oka. Toteż gdy z ust lekarza pada straszliwe słowo: rak żołądka, będące wyrokiem rychłej śmierci, Wiejski Proboszcz płacze gorzko nad smutkiem własnego życia. Poczucie zawodu i rozczarowanie towarzyszy nawet ostatnim chwilom. Umierać mu wypadło w osamotnieniu i opuszczeniu, wśród ludzi obcych, nawet pokój, w którym się znalazł w godzinę śmierci, był odrażający brzydki i niechlujny. Dla dopełnienia kielicha gorzkości ostatniej posługi udziela mu kapłan suspendowany, który sprzeniewierzył się swemu powołaniu. Trudno o obraz większej klęski życia.

A jednak to życie tak mizerne, tak niude było wspaniałym triumfem Łaski. Bo w porządku nadprzyrodzonym było życiem wielkim. Proboszcz Wiejski widzi to jasno w chwili agonii „I cóż to szkodzi. Wszystko jest Łaską!” Te ostatnie słowa są syntezą myślową całej książki. Śmierć ta jest pełna pokoju. Ale nie tylko w godzinę śmierci duszę kapłana nawiedził pokój. W przeciwieństwie do ks. Donissana, bohatera „Pod słońcem szatana”, życie Wiejskiego Proboszcza ma w sobie wiele pokoju.

Triumf Łaski na gruzach życia — to nie harmonizuje z humanistycznym ideałem chrześcijańskim. Wiejski Proboszcz nie umiał ocalić swego życia i ofiarę je spalił. Ofiara całopalenia to szczególnie, najwyższe misterium świętości. Ale w ostatnich chwilach życia rozumie bohater Bernanosa, że całopalenie nie było koniecznością, bo prawa Łaski są jeszcze prostsze. **Holocaustis non delectaberis**. Znamienne są ostatnie słowa pamiętnika pisane tuż przed zgonem. „Nienawidzić siebie jest łatwiej niż się zdaje. Łaską jest zapomnieć siebie. Ale gdy by wszelka pycha w nas umarła, najwyższą łaską byłoby kochać nieśmiało samego siebie, jak każdy z umęczonych członków Jezusa Chrystusa...” Słowa te pisane przez człowieka o tak surowej mistycznej i ascetycznej sylwetce brzmią jak niespodziewany powiew humanizmu. Można także siebie kochać, pokornie i prosto, jak kogokolwiek z braci w Chrystusie. Słowa te zapowiadają możliwość znalezienia syntezy między „średniowieczną” i „humanistyczną” koncepcją chrześcijaństwa.

Częste w Polsce uprzedzenia w stosunku do książek Bernanosa nie mówią dobrze o poziomie kultury katolickiej u nas. Oczywiście, problematyka „Pamiętnika Wiejskiego Proboszcza” nie jest problematyką popularną. Chodzi o wysokie rejony życia katolickiego. Brak jakiegos potocznego sensu dydaktycznego. Książka poświęcona fragmentowi problematyki świętości jest pewnego rodzaju luksusem kulturalnym. Przy najmniej w polskim środowisku intelektualnym tak to można ocenić! We Francji tematyka tego rodzaju jest dostępna znacznie szerszemu gronu czytelników. Tym lepiej, że nowe wydanie „Pamiętnika Wiejskiego Proboszcza” popularyzuje w Polsce tę dobrą książkę. Ukazuje ona czytelnikowi, jak subtelnie złożone są najgłębsze problemy chrześcijańskiego życia wewnętrznego.

Stanisław Stomma

^(*) Georges Bernanos „Pamiętnik wiejskiego proboszcza” Sp. wyd. PAX str. 239. Warszawa 1950.

Zygmunt Lichniak

Trzech Morcinków

Pierwszego Morcinka poznaliśmy przed wojną. To był Morcinek lecany w programach lektur wtany dzieciom w szkole, streszany na klasówkach, uważany przez wydawców za bestsellera, przez krytyków — za zdolnego, pracowitego faceta od czarnej roboty powieściopisarskiej, przez kłopotliwych adorowanych, wnoszących na cokół z wspaniałej węgielnej bryły, Morcinek „Łyska z podłogi Idy”, „Serc za tamą”, „Wiazd w studni”.

Drugiego Morcinka poznaliśmy raz po wojnie. To był Morcinek szący o grozie obozów, walczący koszmarem wspomnień, powtarzający z bolesną obsesją niemal wyryte nie tylko na ciele cyfry tego numeru z kartotek esesmańskich, Morcinek wysyłający o włoskiej morwy tragiczne liście, szukający w łazience rzymskiej, dróg wyjścia z zamkniętego świata rozpaczliwych i niewiary, rozmawiający z dziewczyną na Champs-Élysées o zamordowanych przyjaciół, nadziejach i złudzeniach, znajdujący powoli zagubione klucze do świata, w którym można kochać, wierzyć i tworzyć.

Trzeciego Morcinka poznajemy pięć lat po zakończeniu wojny. Morcinek rozmawiający z robotnikami i racjonalizatorami, jeżdżący no nowym, prawdziwie robotniczym Śląsku, obiecujący nową, prawdziwie społeczną powieść. Tego trzeciego Morcinka oczekujemy z największą ciekawością i napięciem. Ten trzeci Morcinek najwięcej nas interesuje.

TRES FACIUNT UNUM

Zadnego spośród trzech znanych Morcinków nie zrozumie się oderwaniu od dwóch pozosta-

łych. Wszystkich trzech ożywia ta sama pasja określenia, nazywania po imieniu najaktualniejszych problemów rzeczywistości. Wszystkich trzech wypełnia ta sama ambicja ciągłego związku z życiem, które jest życiem najbliższym nam, bo życiem naszym.

Dlatego przebywając na rodzinnym Śląsku pisał pierwszy Morcinek o jego ówczesnych problemach, o jego ówczesnym życiu.

Dlatego, cierpiąc w niemieckich obozach, pisał drugi Morcinek o skutkach moralnych tych cierpień, o ich brzemieniu, uginającym barki człowieka, który przeżył wojnę.

Dlatego, odbywając triumfalne raidy po Polsce współczesnej, rozmawiając z współtwórcami jej od budowy, obiecuje trzeci Morcinek powieść współczesną ukazującą w nowy sposób nowe życie robotników.

Powiązani wspólną ambicją, wszyscy trzej uwarunkowani są między sobą sumą wzajemnych zależności. Za błędy pierwszego pokutował drugi, za trud drugiego zdobył głębszą wiedzę o życiu i człowieku trzeci, i on właśnie, wykorzystując naukę błędów najmłodszego i bolesną wiedzę starszego — jako najdojrzalszy dysponuje największym potencjałem do świadczeń, zajmuje najdogodniejszą pozycję wyjściową. Postaramy się określić ją dokładniej, co jednocześnie pozwoli nam na ogólne scharakteryzowanie pozycji zajmowanych poprzednio przez autora „Zagubionych kluczy”.

W KRĘGU UPROSZCZONEGO HUMANIZMU

Przedwojenna twórczość Gusta Morcinka ograniczona była jego ówczesną wiedzą o życiu i powołaniu pisarskim oraz konkretną sytuacją historyczną, w której wy-

stąpił jako herold pracy górników śląskich, jako piewca optymizmu w ocenie stosunków i napięć między ludzkich.

Ówczesna wiedza o życiu nie pozwalała autorowi „Wyrąbanego chodnika” na łączenie myśli społecznej jego dzieł z możliwościami zmiany zastanego układu sił społecznych. Ówczesny układ tych sił stwarzał zaś fałszywą, ale mocną sugestię, że ewentualne poprawienia dokonać się mogą tylko na drodze indywidualnych inspiracji i dążeń, na drodze niezorganizowanej, a już w żadnym wypadku zorganizowanej z myślą rewolucyjną, na drodze akcji wymiany usług, dobrowolnej filantropii uczuć, wynikającej z nieudowodnionej przesłanki, że ludzie są dobrzy.

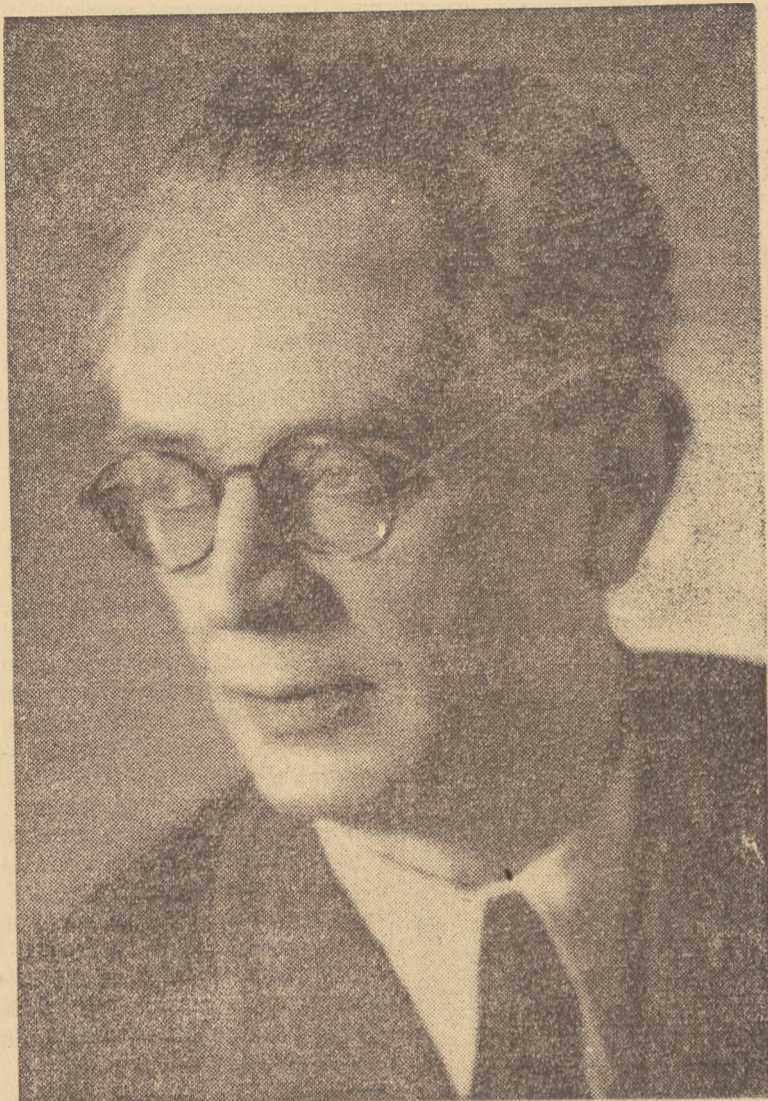
Morcinek uległ tej sugestii. Mało tego: poparł ją całą siłą talentu, który swoim urokiem tuszował logiczne błędy generalizowania i podnoszenia do rangi ogólnej zasady życia społecznego poszczególnych, niekoniecznie nawet typowych, norm indywidualnego działania. To był błąd wybitny już wtedy pisarza. Błąd ten skazał go na wszystkie konsekwencje uproszczonego humanizmu.

W kręgu tego humanizmu kwitł sentymentalny optymizm, rozwijała się zdrożna skłonność do symplifikowania złożoności natury ludzkiej i jej wszystkich uwarunkowań filozoficznych oraz socjologicznych, ustalała się — być może nieświadomie — taktyka nieprzykładania siekiery do korzeni zła, jednym słowem: zdobywała sankcję ideologiczną i artystyczną dążność do zachowania wiary w sens świata takiego, jaki jest, choć by za cenę późniejszych, tragicznych rozczarowań.

Ten błąd ideologiczny był błędem niedomyślenia raczej, niż politycznych świadomych przemyśleń, bo w klimacie dzieł Morcinka obok wątlej roślinki typu „humanismus symplificatoris” z gatunku bluszczowatych, rozwija się i rośnie mocny pień prawdziwego zrozumienia sensu ludzkiej pracy, prawdziwego szacunku dla rąk robotnika polskiego. Morcinek zna tę pracę i ceni, umie o niej pisać i pisał o niej mocno i prawdziwie, z epickim wzięciem. Tę prawdziwość podważa zarzut główny, sfornowany już poprzednio, ale warto ją tu wspomnieć, jako obiektywną zdobycz śląskiego pisarza, jako określenie jego potencjalnych możliwości, których pełne wykorzystanie powinno być jednocześnie korektą starych błędów.

NAUKA WOJNY

Nauka wojny skłoniła Morcinka do korekty, samodzielnej i głębokiej. Nie będziemy teraz dokładnie omawiali jego dzieł z okresu wojennego. Omawialiśmy je już wcześniej („Dziś i Jutro”, nr 144 i 200). Przypomnijmy tylko, że wzytując się w bolesne i niewątpliwie z obozowych rzeczy najlepsze „Listy spod Morwy”, śledząc walkę z ogromem rozczarowania w „Listach z mojego Rzymu”, obserwowując wewnętrzne zmagania w opowiadaniach tomu pt. „Dziełczyna z Champs-Elysees”, wreszcie męcząc się wznowioną ostatnio — chyba najsłabszą — powieścią „Zagubione klucze”, która ma stać nowicjuszem wyjścia z impasu obozowego — mogliśmy stwierdzić, że Morcinek nie zaryzykował by już teraz pośpiesznego ogólnienia: „ludzie są dobrzy. Wprowadził



by chyba do tego zdania znamieną poprawkę: ludzie są ludźmi. I dodałby: czasem są zwierzętami.

Uproszczony humanizm spłynął z nurtem potężnych wydarzeń, jak spływa z zalewiskiem powodzi licha chałupina. Zbyt płytka ów humanizm tworzyła wiedza o życiu, w zbyt zafałszowanej rodzi się on sytuacji historycznej, zbyt łatwo chciał się z tą sytuacją pogodzić, aby wytrzymać próbę czasu, aby uchronił serce za tamą prawdziwej wiary w człowieka, czy przede wszystkim rzetelnej wiary w Boga. Wojna pogłębiła tę wiedzę, rozwiała złudzenia, przeegzaminowała wiarę.

Morcinek swój egzamin zdawał długo i z trudem olbrzymim. Nauczony doświadczeniem zerwał z taktyką uproszczeń. Nie korzystał z żadnych ściągawek, z żadnych gotowych rozwiązań, z żadnych „niezawodnych chwytów”. Egzamin zdał. Nie piszemy tych słów metodą cenzurkową. Nie o cenzurkę nam chodzi, ale o naszkicowanie głównych etapów, głównych momentów dynamiki rozwojowej pisarza.

Przeżycie wojny jako lekcji historii stosunków międzyludzkich było dla Morcinka momentem przełomowym. Lekcja ta wyjaśniła dowodnie, że człowiek to rzecz bardzo skomplikowana, że nie można go ujmować w oderwaniu od kontekstu, w którym działa. Morcinek musiał uznać błędność traktowania tak ważnego przedmiotu bez dostatecznego uwzględnienia przesłanek filozoficznych i socjologicznych, bez rzutowania doznań szczegółowych i jednostkowych na ogólne tło doświadczeń historycznych. Z tego wynikają zrozumiałe konsekwencje.

NA PRUGU NOWEGO ETAPU

Potwierdzenie ich rozumiałości znajdziemy chyba w obiecanej powieści współczesnej Morcinka. Staje on na progu nowego etapu, wzbogacony doświadczeniami lat brzmienych trudną prawdą o człowieku, wzbogacony rozumieniem swoich dawnych błędów i niedociągnięć. Ma obiektywne szanse na zrealizowanie postulatów dobrej powieści katolickiej naszych dni.

Znajomość zagadnień technicznych, głębokie odczucie klimatu śląskiego, duża umiejętności obcowania w przodującym środowisku robotniczym — stanowią gwarancję „formalnej” sprawności twórcy.

Wierzmy, że stojąc na lepszej niż dawniej pozycji stworzy Gustaw Morcinek lepszą niż dawniej tradycję powieści o robotnikach, tradycję powieści robotniczej.

Nie robi z niej zapewne samograj, nie pokaże nam tylko herosów, bo prawdą jest, że nie tylko z herosów składa się kadra robotnicza. Chcemy ją ujrzeć i ujrzymy ją oczyma pisarza katolickiego. Chcemy spotkać i spotkamy chyba bohaterów Morcinka wszędzie tam gdzie on ich spotykał, gdzie ich obserwował czy współżył z nimi.

W naszym „chcemy” nie ma tylko naszych postulatów, lecz są postulaty epoki, którą każdy pisarz, a zwłaszcza pisarz katolicki musi w miarę swoich sił czynić lepszą, pełniejszą, bliższą Bogu.

Jest dla nas rzeczą oczywistą, że spośród trzech Morcinków największe szanse zrealizowania tak trudnego postulatów ma — en trzeci.

Zygmunt Lichniak

Sp. wyd. „Pax”, Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATANA

cena 950 zł

B. MARSHALL
CHWAŁA CÓRY
KROLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTOW
„OJCZE NASZ”
K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1000 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
1-8515

SP. WYD. „PAX” INST. WYD.

Z poezji Puszczy

DEMON

*W ów czas, gdy tyle przeżyć nowych
i wrażeń niósł mi każdy dzień,
bo i czar dziewcząt, szum dąbrowy,
słowika pieśń i nocy cień,*

*gdy sławy łube uniesienia
i przeciw tyranowi gniew,
porywy serca i natchnienia
rozpłomieniały moją krew:*

*nagłymi smutki radość płosząc,
stępując na głos wiary słuch,
wtedy to mnie nawiedzać począł
kryjomo jakiś mroczny duch.*

*O, spotkań naszych gorzki owoc!
Wzrok przenikliwy, jego śmiech
i jego jadowite słowo
sączyły we mnie chłód i grzech.*

*Oszczerstwa wiecznie miotał hardy
kusiciel Opatrzności w twarz,
natchnienie miał za godne wzgardy,
i wszelkie piękno — mówił — fałsz,*

*w miłość i wolność karał zwątpić,
z wszystkiego drwił, co żyje wkrąg
i nikt na świecie nie dostąpił
błogosławieństwa z jego rąk.*

1823

Przełożył Janusz Kawecki

ZADNEJ merytorycznej dyskusji nad celami i metodami naszej pracy ideologicznej, nie sposób nie zaczynać od retrospektywnego rzutu oka na własne linie ideologicznego rozwoju. Nie o to jednak chodzi, by wytykać minione sprzeczności, czy załamania, tak samo jak uważałbym za całkowicie zbędne dziś zajmowanie się podsumowaniem istniejących historycznych osiągnięć tego trzonu ideologicznego, jaki reprezentujemy.

Nie to jest dziś najważniejsze.

Ważnym natomiast jest przypomnienie sobie stale, że my, ludzie i cała nasza epoka z minimalnymi wyjątkami wyrastamy z głębokiego kryzysu ideowego, w rezultacie którego nasze podstawy ideologiczne są w gruncie rzeczy niezwykle ubogie.

Przed nami stoją ciągle zasadnicze zadania: pogłębiać, precyzować założenia wyznawanego przez nas światopoglądu chrześcijańskiego, opanowywać wiedzę o Kościele Katolickim, jego teologii i filozofii. Po to jednak, by te założenia światopoglądowe pozwalały nam na pewne kierowanie się wśród złożonych problemów współczesności musimy jeszcze do końca niebyłej pracy rewizji tych wszystkich pojęć, które stanowią czy to interpretacje, czy rozwiązania założeń światopoglądu chrześcijańskiego, a będących właśnie dziełem tego okresu minionego, który został przez nas generalnie oceniony negatywnie.

Rozsądne głosy ostrzegają nas słusznie, że jeśli taka generalna rewizja, generalny zwrot do źródeł chrześcijaństwa jest oczywistą koniecznością epoki, to jednak sam proces rewizji trwać może doskonale znacznie dłużej niż życie jednego pokolenia. Nie można też z tego zadania wyciągać wniosku, że do chwili wybudowania całego gmachu nowoczesnej myśli katolickiej — włączymy się z obiegu wszelkiej problematyki aktualnej, a zwłaszcza, że uniknąć będziemy wszelkich kontaktów z obcymi światopoglądowymi ruchami ideowymi.

Niemniej jednak dwa wnioski konkretne musimy wyciągnąć:

1) że obowiązuje nas duży wysiłek w kierunku pełniejszego opowania dotychczasowej myśli katolickiej, z dokonaniem jednoczesnym rewizji w tych dziedzinach, które się nam wydają najpilniejsze,

2) że przystępując do oceny obcych światopoglądowo kierunków, musimy pamiętać, iż nasz własny aparat krytyczny, oparty o światopogląd w stanie kryzysu — nie jest dostatecznie sprawny narzędziem. Nie popadając w kompleks niższości — musimy być tym czujniejsi, tym bardziej ostrożni.

Katolickości naszego zespołu nie można więc mierzyć zasobem posiadanej na tym odcinku wiedzy. Na pewno nasze wiadomości tak z dziedziny teologii, jak i filozofii, dogmatyki, etyki, jak i wszystkich pomocniczych dziedzin wiedzy katolickiej pozostaną jeszcze bardzo dłużej nie na poziomie nie tylko potrzeb, ale nawet elementarnych wymogów.

Miarą katolickości naszego zespołu, miarą katolickości wszystkich zespołów powstałych w podobnych do naszych warunkach, jest intensywność prac nad poznawaniem i przekładaniem na język współczesny podstawowych założeń naszego światopoglądu i zdol-

ność konsekwentnej realizacji już sformułowanych tez własnych.

Jeżeli idzie o polskich marksistów to na pewno olbrzymia ich większość nie wyrosła wśród gotowych sformułowań ideologicznych. Mimo tego jednak światopogląd marksistowski ma nad nami tę zasadniczą w tej chwili przewagę, że dysponuje już sformułowaniami bardziej sprecyzowanymi a jednocześnie potrafił wytworzyć wśród swych zwolenników poczucie konieczności dyscypliny właśnie na odcinku poznawania zrębów własnej doktryny.

W rezultacie można przypuszczać, że pewne, wcale nie małe, kwantum wiedzy marksistowskiej stanie się w niedługim czasie udziałem poważnej części społeczeństwa, znajdujących się w bezpośredniej orbicie oddziaływania marksizmu. W krajach kapitalistycznych, znajomość marksizmu postępuje znacznie wolniej. Niemniej musimy za notować w ostatnim okresie czasu bardzo poważny rozwój znajomości o marksizmie. Rzecz paradoksalna, opiera się on nie tylko na dziełach współczesnych marksistów, lecz także na studiach katolików i protestantów, których prace krytyczne, czy sprawozdawcze automatycznie powiększają zasób wiedzy o marksizmie w społeczeństwach zachodnich.

Wobec postępującego równoległego rozkładu nie-marksistowskiej myśli socjalistycznej — wykład marksizmu utożsamia się coraz to bardziej z samym pojęciem socjalizmu. Praktyka ostatniego okresu wykazała, że ruchy socjalistyczne, opierające się na koncepcjach reformistycznych nie mogą być w dzisiejszej epoce podmiotem tworzącym historię. Zdystrygowane i zdemaskowane przez ruchy komunistyczne, opanowane od zewnątrz przez bardziej zapobiegliwe i aktywne elementy konserwatywne, napotykać się na nieprzewidywane trudności umiejscowienia swej władzy i swych systemów w świecie typowo kapitalistycznym i imperialistycznym — stają się parawanami dla pojedynku komunizm-kapitalizm, podobnie jak dziś siejsze próby tworzenia ustrojów chrześcijańsko-demokratycznych.

W istocie na placu boju w połowie XX wieku pozostaje tylko socjalizm marksistowski, jako stadium wstępne do komunizmu, oraz kapitalizm imperialistyczny, wraz z ustrojami-satelitami, oscylujący między materializmem liberalistycznym, a różnorodnymi formami mieszczańskiej ucieczki ku spirytualizmowi. Pośrodku pozostaje Kościół Katolicki, całą swą zewnętrzną strukturą socjalną związany tragicznie z formami ustrojowymi kapitalistycznymi, rozwijający się pod wrażeniem historycznie zrozumiałych starć między ustrojem realizowanym przez marksistów a organizmami religijnymi historycznie związanymi z elementami starego ustroju. Jednocześnie jednak wszystko co żywotne i wrażliwe na istotną misję apostolską Kościoła zwraca się coraz to wyraźniej — ku masom upośledzonym, ku narodom kolo-rowym, widząc w nich nieskażone jeszcze wartości wewnętrzne, których już dawno zabrakło środowiskom mieszczańskim. Im mocniejsza świadomość takiego właśnie zadania tym większa niechęć do ustawiania się w absurdalnej sytuacji politycznego przeciwnika, tym większe zrozumienie dla tych właśnie form ustrojowych, które stanowią wyraz potrzeb tychże mas.

W zasadzie więc stosunek katolików do aktualnego konfliktu ideowo-społecznego trzeba jednak na

Władysław Żegocki

PERSPEKTYWY

zwać stosunkiem koniunkturalnym. Koniunktura pojęta oportunistycznie każe jednym wybierać świat kapitalistyczny, jako główny przedmiot zainteresowań, koniunktura, pojęta pioniersko (ale też i ryzykancko, bądźmy szczerzy), kieruje ku socjalizmowi w jego marksistowskim ujęciu. Rzecz oczywista w obu wypadkach wnoszą katolicy zastrzeżenia i postulaty własne. W obu jednak nie potrafią narazie sprecyzować w jaki sposób, jakimi środkami, będą tych sformułowań bronić. Jak dotąd odpowiedź na to pytanie zawiera się w wyrażeniu przeświadczenia, że wewnątrzna siła, tkwiąca w katolicyzmie tych przeobrażeń dokona.

Tymczasem tak się nie dzieje. Ani ostatni okres współżycia katolicyzmu z kapitalizmem, ani te obecne koniunkturalne próby szlutowania w prawo czy w lewo nie wskazują na istnienie aktualnie w społecznościach katolickich takich sił, któreby potrafiły oddziaływać na kierunki, toczące ze sobą walkę.

Co jest tego przyczyną?

Wydaje się, że w pierwszym rzędzie właśnie ta atmosfera koniunkturalności leży u podstaw tych trudności. Z jednej strony bowiem czyni w istocie z katolików wątpliwych sprzymierzeńców w obu obozach, z drugiej strony, wobec elastyczności tych koniunktur — czyni katolików chwiejnych i polowicznych. Jeśli zaś chodzi o odcinek najpoważniejszy, jakim jest dziś niewątpliwie odcinek socjalistyczny — taka, nawet pożytywnie, pioniersko potraktowana koniunkturalność odstręcza masy katolickie od wszelkiej postawy aktywnej. Jeśli one bowiem czują się socjalnie związane ze starym ustrojem, — jakżeż można je przekonać, by zechciały wziąć poważniejszy udział we wnoszeniu ducha chrześcijaństwa w nowe formy ustrojowe.

**

Nasze środowisko zrozumiało szybko, że jakkolwiek z punktu widzenia misji chrześcijańskiej może wystarczać rozumowanie koniunkturalne, zajmowanie takie go stanowiska jest generalnie błędne.

Postawa za czy przeciw socjalizmowi, formy i treść stosunków między katolikami a marksistami nie mogą być uzależnione od spekulacji jak potoczą się losy przyszłej rewolucji. By dziś formułować rzeczywiste postulaty, by potrafić skutecznie bronić własnego punktu widzenia — konieczna jest ocena porównawcza obu wielkich nurtów dzielących świat współczesny, konieczne jest nie tylko stwierdzenie szans tej walki, lecz postawienie dogłębnej diagnozy istoty konfliktu, krytyki proponowanych rozwiązań a przede wszystkim absolutnie realistycznej oceny metod i środków wprowadzonych przez obie strony do walki. Tylko wnioski wyciągnięte z takiej pracy krytycznej dają działalność ośrodków chrześcijańskich dostatecznie dużą wewnętrzną pewność siebie, pozwalając emanować autorytet, niezbędny by móc pozostać sobą w okresie tak dramatycznym.

Jednym słowem, by móc odpowiedzieć na pytanie jakże przede wszystkim formy społeczne należy przenikać duchem chrześcijańskim, nie należy najsamprzew

stwierdzać, która spośród nich ma aktualnie większe szanse utrwale nia się, lecz należy, jakkolwiek trudna będzie odpowiedź — stwierdzić gdzie mieści się obiektywnie więcej historycznej i społecznej racji.

Mimo posiadania jednak tego przeświadczenia, że po to by móc na aktualne formy socjalizmu oddziaływać pozytywnie, trzeba zajmować w stosunku do marksizmu i marksistów stanowisko merytoryczne a nie tylko praktyczne — nie wyrobiliśmy sobie właściwie jeszcze dostatecznie precyzyjnego sądu o marksizmie.

Nasze stałe luki we własnym systemie światopoglądowym tej pracy rzecz oczywista nie ułatwiają. Opanowanie bardzo już bogatego materiału doktrynalnego marksistowskiego nie jest łatwe w momencie działania intensywnego. Wreszcie postawa samych marksistów jest w zasadzie nieprzychylna w stosunku do wszelkich krytyk przychodzących z zewnątrz. Oto istotne trudności, które musimy na tej drodze pokonywać.

W pewnej mierze dla ułatwienia, przyjęliśmy zasadę oddzielenia od siebie założeń światopoglądowych materializmu marksistowskiego i cech charakterystycznych ustroju socjalnego. Te cechy charakterystyczne uznaliśmy za pozytywne i celowe do zrealizowania dla społeczeństwa chrześcijańskiego. Nad tą częścią rozumowania nie będę się teraz zastanawiał, jakkolwiek musi ona budzić szereg zastrzeżeń dzięki swym ryzykownym założeniom i ogromnym uproszczeniom myślowym. Sądzę jednak, że było rzeczą celową ułatwić sobie pracę w tym okresie przedwstępnym.

Dzisiaj jednak należy sobie uprzytomnić, że powiązania materializmu marksistowskiego z konkretnymi postulowanymi formami ustrojowymi są znacznie większe niż by sugerowało takie powierzchowne rozumowanie. Poza wszelkimi względami teoretycznymi na pierwszy plan wysuwa się spostrzeżenie praktyczne. Marksisci, będąc jedynymi konsekwentnymi realizatorami koncepcji socjalistycznej, przyjmując na siebie cały ciężar światowej walki domagają się w istocie dla siebie wyjątkowości w prawidłowym rozumieniu socjalizmu.

Ta postawa oceniana z punktu widzenia naszych założeń kierunkowych, kryje w sobie niebezpieczeństwo niepożądanych dla nas konsekwencji.

Im głębszy będzie nasz merytoryczny stosunek do socjalizmu, tym bezwzględniejsza musi być nasza świadomość wyżej wspomnianego stanu faktycznego.

Odpowiedzialność tych, którzy głosząc socjalizm, pragną się od jego materialistycznej interpretacji odciąć, jest w takiej sytuacji olbrzymia. Biorą oni na siebie bowiem wszelkie konsekwencje połączonych dokonywanych przez wyznawców drugiego światopoglądu, a jednocześnie biorą na siebie zadanie głoszenia i bronięcia w dalszym ciągu założeń socjalistycznych.

W koniecznych próbach podejmowania dialogu z marksistami grozi nam zawsze ewentualność spotkania się z zarzutem, że w ten sposób działa się na szkodę socjalizmu a na korzyść kapitalizmu. Dialog taki jest więc dywersją. Rezygnacja jednak z am-

bicji podejmowania dialogu jest w istocie rezygnacją z samodzielnności ideowej, gdyż zmusza w rezultacie do zejścia na pozycje materialistyczne z zastrzeżeniem o sobie najwyższej prawa do formułowania w sumieniu spirytualistycznych zastrzeżeń. Rzecz oczywista takie stanowisko jest fikcją ideową, fikcją nie uznawaną ani przez moralność chrześcijańską ani niezrozumiałą dla społeczności religijnej, w łonie której się działa.

Marksizm jest w walce. Sądzić więc, że nie czas dziś na subtelne oceny. Wszystko co prowadzi do ostatecznego zwycięstwa jest dobre, wszystko co walkę utrudnia jest fałszywe.

Mimo tych zrozumiałych przeciwności wydaje się, że przystępując do intensywnej pracy nad naszym stosunkiem do marksizmu musimy w pierwszym rzędzie walczyć o prawo dyskusyjności o marksizmie. Musimy umieć we właściwy sposób przełożyć na język współczesności słowa Leona:

„My bynajmniej nie uważamy, by teoria Marksa była czymś akceptowanym i nietykalnym, przeciwnie, przeświadczeni jesteśmy, iż poświęciła ona tylko kamień węgielny tej wiedzy, którą socjaliści muszą rozwijać we wszystkich kierunkach, jeśli nie chcą pozostać za późnieni w stosunku do życia.

Jednym ze wstępnych zadań dla naszej publicystyki ideologicznej w chwili obecnej widzę właśnie postawienie zagadnienia możliwości dialogu między nami a marksistami w płaszczyźnie konfrontacji założeń socjalizmu.

Wiem, że to co powiedziałem może stanowić w stosunku do nas podstawę do oskarżenia o „rewizjonizm”. Jeszcze bardziej jednak tej tezie grozi by nie została zidentyfikowana z licznymi w czasie i po wojnie próbami wyprzedzenia, poprawiania marksizmu. Błędem tego rodzaju prób jest jednak zapomnienie, że po to by „wyprzedzić” marksizm trzeba najpierw mu dorównać. Innymi słowy — uzupełniać marksistowską interpretację socjalizmu można tylko wów czas, gdy się jest zdecydowanym istotne, wartościowe elementy marksizmu pogłębiać, gdy czyni się jednocześnie próbę pójścia dalej po tej samej drodze i zgodnie z tymi samymi założeniami, dzięki którym marksizm w ogóle mógł przetrwać kapitalizm i próbować tworzyć socjalizm. Jest natomiast ideowym oszustwem, pod pozorem pracy nad usuwaniem dostrzeżonych w marksizmie punktów spornych próbować socjalizm z tej drogi odwracać, zawracać go w innym, w istocie nie socjalistycznym kierunku.

Błędem dotychczasowych prób „rewizji” marksizmu było to, że opierały się one wszystkie na zamiarze cofania się wstecz na drodze do socjalizmu, aż do jakiegoś skrzyżowania, skąd można już być daleko łatwiej pomaszeraować „inną drogą” która się przeważnie okazuje tylko ślepa uliczka. Takimi właśnie ślepyimi uliczkami okazały się być próby rewizjonistyczne socjalizmu Leona Bluma, prowadzące ku kompromisom z mieszczaństwem, próby de Manna, które skierowały go ku Hitlerowi, Burnhama, który utknął na nawrocie do technokratycznej utopii saint-simonizmu, czy wreszcie ostatnia dywersja Tito, która jak to widzimy prowadzi w ostateczności do kapitulacji przed imperia-

lizmem amerykańskim. Trudno to

DIALOGU

uważać za właściwą drogę do zbudowania lepszego ustroju socjalistycznego.

Wszelki dialog ideologiczny między chrześcijanami a marksistami na temat socjalizmu możliwy jest tylko wówczas, jeśli rzeczywiście nie stanowi on sprzeczności socjalizmu na drogi utopijne i jeśli potrafi wydobyc z siebie akcenty twórcze tak przekonywujące, że nie narazi się na zarzut iż jest świadomą, czy nie świadomą formą dywersji.

Prowadzi to do szeregu praktycznych wniosków.

1) Droga do socjalizmu wiedzie przez marksizm w tym sensie, iż tylko on zdał egzamin ze zdolności do postawienia w ogóle tego problemu. Rewizja więc, polegająca na apriorycznym odrzuceniu marksizmu w całości równa się w tych warunkach albo dywersji, albo utopii, przy czym oba stanowiska są dla sprawy realizacji socjalizmu jednakowo szkodliwe.

2) Należy przeto wybierać do dialogu poszczególne elementy doktryny marksistowskiej, zwracając za każdym razem baczność uwagę, by dialog ów, nie wisiął w próżni. Opierać się on musi na rzeczywistej sytuacji w socjalizmie, oraz na konieczności każdorazowego udowodnienia, że dany głos wnosi elementy pozytywne i nie niszczy elementów rewolucyjnych bez których nie może być mowy o realizacji socjalizmu.

3) Rzecz oczywista, zainteresowanie katolików może się skupić wokół któregoś z problemów marksistowskich, podczas gdy względy aktualne nie pozwalają danej dziedzinie poruszać. W takim jednak wypadku trzeba się zdobyć na cierpliwość i dojrzałość wyczekania na właściwszy moment. Tylko tak może postępować sprzymierzeniec w socjalizmie.

4) Uleganie sugestii, że każda dyskusja o jakiegokolwiek pozieje marksistowskiej — jest pośrednim służeniem sprawie kapitalizmu byłaby równoznaczną ze zgodą na wsteczną tezę, iż w socjalizmie postawa chrześcijańska rzeczywiście nie znajduje dla siebie miejsca.

Wydaje się, że najpilniejszym pod każdym względem zadaniem spirytualistycznego dialogu z marksizmem — jest dotrzeć do rzeczywistych źródeł ateizmu marksistowskiego. Konstanty Łubieński, stwierdzając, że należy oddzielić od siebie światopogląd marksistowski i jego ocenę od oceny społeczno-gospodarczych form ustrojowych socjalizmu — stawiał w pierwszym rzędzie tezę — że socjalizm nie musi być ateistyczny. Więc i droga do socjalizmu nie musi być achrześcijańska.

Najistotniejszym więc problemem, który musi stanowić przedmiot naszych badań — musi być odnalezienie właściwych źródeł ateizmu, który w marksizmie jest znacznie większym niż prostą konsekwencją materializmu. Otóż musimy w naszych pracach odpowiedzieć sobie dlaczego przekonanie to powstało w strukturze marksizmu, i jak należy tę zasadniczą myśl sprostować.

Czy oznacza to frontalny atak na pozycje materializmu i zaproponowanie marksistom by uznali istnienie Boga i Objawienie jako podstawy swej aktywności? Oczywiście, że nie.

Katolicy niezwykłe dużo zawdzięczają materializmowi mark-

sistowskiemu, który był mocnym ostrzeżeniem przed pleniącymi się w XIX wieku tendencjami do idealistycznego pojmowania chrześcijaństwa. Do dziś dnia mamy do czynienia na wszystkich odcinkach naszego życia, od polityki poczynając a na nabożeństwach kończąc z idealistycznymi deformacjami naszej ludzkiej aktywności. Jak mówi jeden ze współczesnych postępowych myślicieli niemieckich Walter Dirks: „życie duchowe znacznej większości ludzi dzieje się właśnie w strefie materialnej, a nie w dziedzinie wielkich ideałów” — i to właśnie Marks nam o tym energicznie przypominał.

Gdyby materializm marksizmu był tylko bazą jego wiedzy o sprawach społeczności ludzkiej — nie mielibyśmy powodu do merytorycznych konfliktów, najwyżej uważalibyśmy swą koncepcję świata za bogatszą od marksistowskiej lecz nie sprzeczną. Chrześcijaństwo bowiem nie jest sprzeczne z elementami materialnym bytu. Jeśli jesteśmy w konflikcie światopoglądowym z marksizmem to przede wszystkim dlatego, że marksizm przyznaje prymat elementom materialnym bytu co jest brzemienne w praktyczne konsekwencje.

Oddzielić ustrój socjalistyczny od postulatu jego ateizmu nie jest rzeczą prostą. Zadanie to nie polega na dokonaniu ciężkiej między filozofią a socjologią marksizmu. Zadanie to polega na odnalezieniu istoty błędu powodującego doktrynalne ustawienie ateizmu, który mógłby być tylko ateizmem praktycznym.

Gdybyśmy przyjęli, że w ramach naszej pracy ideologicznej potrafimy się już uporać z problemem „zarażenia idealizmem”, to natychmiast po tym musimy przystąpić do szukania w konfrontacji katolicyzmu i marksizmu odpowiedzi na zagadnienie, które można by nazwać — problemem etyki i techniki. Najtrudniejszy to bodajże z problemów jakie następuje socjalizm.

Postawa marksistowska zakłada, że odpowiedni zasób wiedzy, udoskonalający technikę życia ludzkiego — stanowi klucz do rozwiązywania wszelkiej problematyki moralnej. Odpowiednie kwantum produkcji zaplanowanej i mądrze realizowanej, właściwe wychowanie, przemyślane formy współżycia ludzkiego spowodują zniknięcie naszych bolączek. Znik nie przymus, wyzysk, egoizm, zakłamanie, pożądlivość.

Natomiast wysunięcie przez katolików postulatu postępu moralnego, warunkującego przeobrażenia społeczne i ekonomiczne daje w rezultacie te załamania i reakcje ateistyczne, których jesteśmy dziś świadkami. Synchronizacja tych dwóch elementów, ich współzależność, lecz i także metody osiągania harmonii muszą być przedmiotem prac w których wiedza marksizmu musi iść w parze z kardynalnymi wymogami katolicyzmu, który, naszym zdaniem, zna lepiej naturę ludzką.

Bądźmy jednak realistami — uznać za obowiązujące normy etyki katolickiej jest dla marksisty jednakowo trudne, jak dla katolika uznać wymogi rewolucyjności socjalizmu. Jeśli Peguy powiedział, że „rewolucja — albo będzie moralna, albo jej nie będzie w ogóle”, to każdy marksista odpo-

wie z nie mniejszą racją — „rewolucja — albo będzie skuteczna, albo jej nie będzie w ogóle”. Tej antynomii katolicy nie potrafili rozstrzygnąć. Naszym zadaniem jest wydobyc wszelkie możliwe wnioski z faktu, że żyjemy w rewolucji. Stąd bezwzględna konieczność opanowania całej problematyki rewolucyjnej, zwłaszcza leninowskiej a jednocześnie brania udziału we wszystkim co jest rzeczywistym przetwarzaniem form społeczno-gospodarczych.

Następny z wielkich problemów, które musi poruszyć konsekwentne studium marksizmu — to problem obcości klasowej. Jest już dziś faktem, że pojęcia takie jak „proletariat”, „klasa robotnicza”, „świat pracy mają swą rację bytu rzeczywistą tylko w warunkach kapitalizmu. Z chwilą gdy rozpoczyna się proces socjalizacji — pojęcia te, wraz z innymi pojęciami pokrewnymi, klasowymi, stają się coraz bardziej raczej wykładnikiem postaw światopoglądowych aniżeli pozycji społecznej.

Jeśli do pewnych granic mamy prawo mówić o realizującej się sprawiedliwości, która wymaga by przedstawiciele warstw uprzednio upośledzonych zajęli należne im miejsce w społeczeństwie — to z jaką racją marksistami dziś socjalistycznym, to jednak skrajnie niebezpiecznym, „obcości” klasowej musi budzić niepokój.

Nie mniej musimy sobie powiedzieć, że nie sformułowaliśmy sami odpowiedzi — co się dzieje z „proletariatem” w fazie realizowania społeczeństwa bezklasowego.

Trzeci wreszcie problem podstawowy, jaki trzeba sobie postawić na progu studiów krytycznych nad marksizmem — to zagadnienie kultury socjalistycznej.

Niepokoje mnie charakterystyczne dla niektórych katolików tendencja ku ustawianiu problematyki kulturalnej na płaszczyźnie pewnej „eksterytorialności”. Z natury rzeczy dla nas, w ramach naszej działalności, płaszczyzna kultury, która jest płaszczyzną wymiany myśli i pojęć — jest najważniejsza. To zrozumiałe. Z drugiej jednak strony, nie wolno myśleć o kulturze w innych kategoriach jak socjologicznych. Oznacza to praktycznie, że realizacja — problematyka kulturalna jest problematyką polityczną po prostu i ponosić będzie wszelkie konsekwencje innych dziedzin naszego życia.

Struktura socjalistyczna jest w swym założeniu monistyczna, czyli jednolita, zwarta, zaplanowana. W rezultacie i tak twierdzą marksisci — kultura socjalistyczna musi być również monistyczna, jednolita, zaplanowana. My natomiast domagamy się, by kultura była, w ramach społeczeństwa socjalistycznego tą dziedziną w której myśl będzie się ścierać, w której światopoglądy i filozofie będą się krzyżować i rozwijać. Jak rozstrzygnąć tę sprzeczność wewnętrzną?

Problematyka kultury przez sam fakt, iż jest domeną w pierwszym rzędzie umysłu — ma tendencję do odrywania się od gruntu realizmu. My jednak nie mamy prawa zapominać, że w okresie rewolucji nie mogą w żadnej mierze istnieć procesy kulturowe obojętne. Są one albo kontra-rewolucyjne.

Czy godzić się więc na możliwość obniżenia jakości przeżyć wewnętrznych współczesnego człowieka w imię tego, że procesy kulturowe sprowadzimy do aktualnych zadań politycznych?

Czy opóźniać i rozładowywać procesy rewolucyjne, by utrzymać „standart kulturowy” odpowiadający współczesności? Nie potrafię na to pytanie dać odpowiedzi, ograniczam się tylko do zasygnalizowania zasadniczego problemu. Przeświadczony jestem że sprzeczność polega na nieumiejętności wydobycia z tego co jest we współczesnej kulturze wartościowego, właściwych elementów twórczych dla rewolucji. Do naszych więc także zadań należy, przy okazji studiów porównawczych nad marksizmem i katolicyzmem — te właśnie elementy uwypuklić i wykorzystać.

Można by mnożyć w nieskończoność ilość problemów na które trzeba dziś studium marksizmu podzielić. Wydaje mi się, że rozsądniej będzie zatrzymać się na najważniejszych, najbardziej aktualnych. One bowiem dziś w istocie warunkują realizację zrzębów socjalizmu. Ich rozwiązanie otwiera perspektywę ku socjalizmowi tym, którzy dziś w istocie stoją na bezdrożach.

Nawiązanie dialogu między nami a marksistami wokół problematyki socjalistycznej — to niewątpliwie zagadnienie długofalowe. Dziś nie tylko my nie jesteśmy dostatecznie przygotowani do rozpoczęcia go, lecz marksisci nie wykazują skłonności brania w nim udziału.

Niemniej bez tego dialogu — nasza postawa ideowa ulega dość zasadniczemu spaceniu. Staje się

wyłącznie deklaratywna. Zasadniczym zaś warunkiem możliwości zajmowania postawy krytycznej — to ciągła czujność, by nie było w niej nic z utopii czy moralizatorstwa.

Najlepszą drogą do budowania koncepcji ideowych utopijnych — jest oddzielenie pracy intelektualno-koncepcyjnej od praktyki politycznej. Hodowanie w swoim gronie paru, czy kilkunastu intelektualistów, których specjalnością stają się studia teoretyczne. Trzeba sobie powiedzieć, iż jest to szczególnie niebezpieczna tendencja ideowych środowisk katolickich. Tendencja częściowo wynikająca z przedwojennych praktyk ruchów politycznych, częściowo zaś z specjalnie skomplikowanych warunków aktualnej działalności. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nieudolne formy katolickiej pracy zespołowej, powodują wielką utratę energii na pokonywanie różnych trudności praktycznych.

W tych warunkach wysiłek intelektualny jest niewątpliwie trudny. Jest jednak znacznie za mały w stosunku do potrzeb. Jest za mało chęci rzeczywistego poznania problematyki marksistowskiej od strony katolickiej. Za mało zbiorowego wysiłku dla ustalania własnych pozycji krytycznych, własnych w sensie środowiskowych a nie indywidualnych.

Zarówno pogłębianie naszego światopoglądu katolickiego, jak i krytyczne poznawanie marksizmu wymaga znajomości zagadnień od strony życia codziennego, jak i od strony doktryny. Oto, moim zdaniem, zasadnicza reguła wszelkiej pracy ideologicznej i koncepcyjnej.

Władysław Żegocki

KRONIKA ZAGRANICZNA

50-LECIE ŚMIERCI VERDI'EGO

Dnia 27 stycznia 1951 r. przypada 50-lecie śmierci Verdi'ego. Utworzony z inicjatywy teatru La Scala w Mediolanie włoski „Komitet dla uczczenia Giuseppe Verdi'ego” organizuje różne imprezy. Wstępne projekty obejmują — zjazd artystów interesujących się dziełami Verdi'ego, wystawę ilustracji z inscenizacji oper i międzynarodowy konkurs na nową operę liryczną.

Warunki konkursowe na stworzenie nowej opery zostały już ogłoszone — opera musi być pełnym utworem, złożonym z trzech lub więcej aktów. Wiek i narodowość twórcy nie podlega żadnym ograniczeniom. Dalszym warunkiem jest, aby dzieło nie było dotychczas publikowane, ani publicznie wykonane, jak również zgłoszone na inny jakikolwiek konkurs. Jury złożone będzie z pięciu włoskich i dwóch zagranicznych kompozytorów. Nagroda wyznaczona jest wysokości 4 milionów lirów (około dwa i pół tysiąca funtów szterlingów) poza tym zapewnia się wystawienie nowej opery w La Scala w sezonie teatralnym 1951 — 52. Ostateczny termin zgłaszania dzieła konkursowego upływa z dniem 30 września 1951.

SUKCES SOWIECKICH WIOLONCZELISTÓW

W stolicy Czechosłowacji, w kraju znanych słynnych na świat cały kwartetów smyczkowych, odbył

się podczas międzynarodowego festiwalu muzycznego „Wiosna w Pradze”, światowy konkurs wiolonczelistów, który trwał przez dziesięć dni. Konkurs odbywał się o nagrodę znanego profesora konserwatorium praskiego, Hanusza Wigana. Wzięli w nim udział wiolonczeliści ze Związku Radzieckiego, Węgier, Czechosłowacji, Bułgarii, Austrii, Francji i paru innych krajów. Młody wiolonczelista ze Stanów Zjednoczonych nie mógł przybyć z powodu trudności paszportowych w swym kraju.

W interesującym świat muzyczny konkursie skupiającym uwagę olbrzymich zastępów melomanów i muzykologów, wzięło udział 27 wiolonczelistów, przy czym w pierwszej eliminacji odpadło ich 13. Druga rostrzygująca eliminacja odbywała się w szczególnie zapelnionej wielkiej sali Filharmonii tak zwanego „Rudolfinum”.

Zwycięzcy na bardzo wysoki i wyrównany poziom gry uczestników konkursu, jury zaproponowało iniejatorom, by liczbę nagród i odznaczeń projektowanych początkowo na sześć, podwoiło.

W ostatecznej eliminacji, jury przyznało jednogłośnie pierwsze dwa miejsca wiolonczelistom ZSRR D. Szafranowi i M. Rostopowiczowi, dwa drugie miejsca J. Słobodkinowi (ZSRR) i Varron (Francja), wreszcie dwa trzecie miejsca zajęli A. Laško (ZSRR) i Lafort (Francja). Trzej wiolonczeliści czechosłowaccy, ciesząc się również dużym uznaniem, otrzymali honorowe dyplomy.

Czytanie

„Słowo Powszechne”

BROWARCZUKA ³⁾

czasu, potem koniec. Nie będę się bawić, gówniarzu! — krzyknął nagle i momentalnie się uspokoił.

— Starego Letzkiego? — głośno pomyślał Jasiak.

Weisemann uśmiechnął się już blade.

— Przecie ja nie mogę uwierzyć w tą bajeczkę o partyzantach rosyjskich. Mała sztuczka, zagrana z talentem, przynajmniej. No, ale cóż ma pan czas do namysłu.

Znowu zrobił pauzę, siląc się na kinowy styl, którym chciał wziąć Jaśka. Wstał nagle. Spojrzył na zegarek.

Mógłbym zwyczajnie zacząć śledztwo — powiedział — ale widzę w Panu materiał na cennego współpracownika. Pan jest Ukraincem panie Browarczuku.

Znowu to kino. Jasiak wstał także, spuścił głowę. (Przypomniał sobie rozmowę z matką).

— Pójdziemy, panie Browarczuku. Już późno.

Zegar zaczął bić dwunastą.

Na czerwonej dachu kładł się zmierzch następnego dnia. Koło trawnika bawili się chłopcy. Starszy, w granatowych, podartych z tyłu spodniach lepił małymi czerwonymi rękami długi wał z piasku i błota. Drugi, mniejszy, okrągły, nosił dziurawym, blaszanym kubkiem wodę, zgromadzoną w kamiennych zagłębieniach koło pompy. Idąc, wzbijał kurz.

Jerzy stał oparty o płot, z głową włożoną w liście morwy. Pod nadęta skórą przedramienia czuł szorstką, pełną zgrubień i drzącą belkę parkanu. Nie myślał o niczym, zatrzymał się nad widzianym obrazem z pozorną uwagą, będącą naprawdę tylko bezwładem myśli, tak jakby chłopcy, budujący wał z błota i diasku zamykali w sobie jakiś sens, wykraczający poza zakres ich zabawy.

Od obrośniętych winem domów robotniczych szły rozmawiając dwie kobiety. Niosły wiklinowe koszyki, czymś wypełnione, przykryte po wieczku brudnymi, białymi szmatkami. Kiedy zaszyły za róg poza Jerzym, ich kroki zagłuszyły krok Doroty.

— Postójmy tu trochę — powiedział Jerzy, nie odwracając głowy — taki upał...

— Zwiadam ojcu. Chciał mnie zaciągnąć do was.

— Dobrze zrobiłaś. Na to zawsze będziemy mieli czas.

Jakaś kobieta niosła od pompy wodę w dwu blaszanych wiadrach. Co chwila stawała i wypoczywała. Kiedy szła, woda chlupała jej w wiadrach i wylewała się na ścieżkę, zostawiając za sobą pocentkowane mokrymi śladami pas.

Krzykliwy głos, gdzieś zza rogu przeciwległego domu, zaczął nawoływać.

— Wittek, Wi—itek?

Brzmiało to, jak zawodzenie. Mały chłopak, który nosił wodę, posmutniał widocznie i opuścił blaszany kubek, wylewając na drogę zawartość.

— Co jest, oczu nie masz? — zdenerwował się starszy. Odsunął trochę głowę, przymrużył oko, przyglądając się prawie wykończonemu wałowi i wyglądając go w niektórych miejscach lekkimi ruchami rąk.

— Mama woła — zapiszczał mały. Zdawało się, że za chwilę zapłacze.

— Wi—itek! Wittek! — świdrował głos za domem.

— Zawsze tak, jak się z gówniarzami bawię — parsknął starszy, nie odrywając jednak oczu od wału.

— Idź, idź — rzucił pogardliwie, przyciągając do siebie lewą ręką leżący na ziemi kubek. Już więcej nie zwracał na małego uwagi. Ten postąpił chwilę, popatrzył żałośnie i poszedł, szurając bosymi, opalonymi nogami w kurzu, przyzywany uporczywym, chrypliwym nawoływaniem.

— Wi—itek! Wi—itek!

Poszli wolno zwirowaną ścieżką, koło pompującego wodę rze-



mieśnika. Mrucał pod nosem jakieś przekleństwo, słyszeł je jeszcze długo, aż i jego zaczął przyzywać z okna na piętrze jakiś głos.

— Fra—nek! Fra—nuś!

Wychyliła się kobieta, tylko w koszuli, trzymającej się luźno na jej tłustych ramionach. Ktoś spiewał za otwartym oknem: „Jak ja idę do mojej dziewczyny”. Na wysokim ganku, wychylającym się z żywopłotu, obleczonym zielonymi sznurami winogron, wysoka, jasnowłosa dziewczyna strzepywała kraciastą serwetę.

Na ławeczce, przed furtką, siedziało dwóch starych, pomarszczonych ludzi w zatłuszczonych kombinizonach. Pykali z fajek i między kłębam dymu, wypuszczali krótkie, mało znaczące słówka.

Przed rzadką, drucianą siatką Jerzy i Dorota przystanąli. Koło betonowego ganku, w blaszanym, pogiętym baniaczkumył się mały Wittek.

Kiedy tylko matka, siedząca obok na ogrodowym krzeselku odwracała oczy, ruchy jego natychmiast wolniały, stawały się opieszale i bezmyślne. Na schodach siedział, o ciecie, palił papierosa, zatopiony w dużej płachcie gazety. Widać było tylko jego plecy, w jakiejś wymiętej, niedbale zarzuconej marynarce.

Ktoś dotknął lekko ramienia Jerzego. Edek Dembiński chował pośpiesznie do kieszeni przed chwilą wyciągniętą chusteczkę. Ukłonił się i przystąpił bliżej.

— Jesteś, staruszkę — uśmiechnął się Jerzy — właśnie chciałem cię złapać.

— Ja też ciebie szukałem...

— Może przejdiesz się z nami?

— Z chęcią.

Chłopak w baniaczkumył właśnie porcję klapsów od matki, która przejrzała jego taktykę. Rozkrzyczał się, ale zamilkł na karzące spojrzenie ojca.

— Ciekawaj was ten bachor, myjacy nogi? — zapytała Dorota — chodźmy dalej.

Poszli zwirowaną ścieżką, między porzeczkami, biegnącymi od drogi wąską smugą a po prawej stronie zarastającymi brzegi nisko płynącego strumyczka.

— Edward, polecam Dorotę twojej opiece, oczywiście tylko w czasie pracy.

— Zgadza się pani na to?

— A ty się Jerzy nie boisz? Uśmiechnęli się.

— Pewnie znów gdzieś pójdziesz wieczorem...

— Późnym i to do miasta, proszę pani.

— Ciekawa jestem, co wy tam robicie...

— Jerzy poluje na dziewczęta...

— Edek na mężatki...

— No, dosyć.

Skręcili wąską ścieżką w bok i po szerokiej rurze przeszli na drugą stronę strumienia. Dorota usiadła na betonowym brzegu basenu, Edek obok niej. Szum wody z drugiego końca basenu przytłumił piski, gółych, na brązowo popalanych małców. Wsadzali głowy w buchający wodą otwór kanału, skakali na głowę z dwudziestocentymetrowego brzegu. W pianie wodnej błyskały różnokolorowe iskry światła słonecznego, jak barwny haft. Jerzy oparł się o powykrepany, rachityczny pień jakiegoś drzewka, rozpięty nad basenem. Po chwili usiadł naprzeciw Doroty, pod drzewkiem, o które był oparty, na trawiastym, wydeptanym zboczku.

— Posiedźmy tu trochę...

Dorota oplotła kolana dłońmi i oparła na nich brodę. Nagle zwróciła się do Edka.

— Planujemy z Jerzym na jutro wycieczkę do skał. Może pan się do nas przyłączy?

Edek popatrzył na Jerzego. Uśmiechnął się nieznacznie, obserwując Dorotę.

— Najchętniej, to może być zupełnie miłe...

— To będzie zupełnie miłe.

— Będzie — zgodził się.

— Czy musisz jeszcze wstępować do domu, Edward? — przerwał im Jerzy. Zrywał bezmyślnie trawę i małe pęczki rzucał za siebie.

— Nie, mogę iść prosto stąd.

— Dorota, zlecisz.

Przechyliła się do tyłu, pluskając dłońmi w wodzie basenu.

— Nie bój się.

Jerzy popatrzył na kąpiących się chłopców.

— A może tak i my byśmy się wykapali?

— Brawo! Zgoda, panno Doroto?

— Nie mam kostiumu, ale wy się popłuczcie.

— No co Jerzy?

— Jazda, poskaczemy.

— Tylko Jerzy nie z wierzchu...

Dorota popatrzyła z przestrachem na wysoką, drewnianą budowlę, zastaniającą skrawek długiego basenu. W jednej ze ścian czerniały wycięcia, przez które powysuwano krótkie.



kie deski, zastępujące trampoliny. Wewnątrz widać było postrzępione płyty słomy. Tędy w czasie kampanii ściekała do basenu gorąca woda.

— A jak z wierzchu?

Rozbierali się szybko.

— Proszę cię, nie skacz!

Między krzyżącymi chłopcami, na drugim końcu basenu, powstało jakieś zamieszanie. Wyskakowali z wody, wciągali na mokre ciała spodnie, a niektórzy nawet na to nie tracili czasu, tylko chwytając w garść rozrzucone ubrania, gonili z krzykiem między grządki z kapustą i kalarepą, dopadając drzew i przepadając gdzieś za nimi. Chudy stróż o haczykowatym nosie, wyszedł powoli zza płaskiego, betonowego budynku pompowni. Jego rozwiane, rude włosy czerwieńnięły się blaskiem zmierzchu.

Na okna pokoju Jaśka kładły się cienie wieczoru. Leżał na łóżku godzinę, dwie, na pozór zmartwiały, a pełen gorączkowych myśli, postanowień, wątpliwości i strachu. Cykał stojący na oknie zegarek, pokryty warstwą kurzu. Można było na tym kurzu rysować palcem błyszczące, szerokie linie.

Na dole, w kuchni, rozmawiała matka, niezmiernym, na pół łagodnym, na pół zaczepnym tonem.

(Jasiak patrzył teraz na nią innymi oczami. Nieprzespana noc i pełen denerwujących spotkań dzień wyzwoiliły w nim jakąś dziecięcą, chwiejną słabość, która najchętniej podałaby się silnej, kierującej woli, która szukała jakiegoś oparcia, czegoś, na czym by on sam mógł złożyć ciężar swojego postanowienia, jak zmęczony podróżny składa ciężki worek na przydrożnym kamieniu).

Zacisnął zęby. Wmawiał w siebie spokój. Już postanowił, a to było najgorsze, dalej wszystko pójdzie z rozpędu.

(Umyslnie zacisnął krąg sprawy, bagatelizował jej znaczenie. Najgorsze było to, że cały przesiąkł specjalnym sposobem myślenia, który i teraz eliminował z zakresu jego wyobraźni to wszystko, co nie było na przykład Krystyną czy jakimkolwiek obrazem, odpowiadającym urojonym obrazom, które tworzył od dawna, myśląc o jakimś lepszym życiu).

Ale u zarodka tych wszystkich wyobrażeń pojawiały się inne.

(Trudno mu było zerwać ze wszystkim, co go łączyło z Jerzym, Edkiem i innymi, ludźmi, którzy mu imponowali od dawna. Przejął od nich specjalny sposób podchodzenia do rozmaitych spraw, który czasem, starym nawykiem, uważał za słabość, ale też czasem lubił w ten sposób uświadamiać sobie różnicę, zarysowującą się pomiędzy nim a jego przyjaciółmi z baru i biura. Nie czuł się z nimi do niedawna niczym związany, ale widać trzeba było inaczej).

(Chodziło o Jerzego wobec którego Jasiak czuł się zobowiązany do tego stopnia, że nie mógł stosować do niego tych samych miar, co i do innych, nawet do Edka. Powie, że go nie ma, że wyjechał, że nie znał jego nazwiska).

Usiadł na łóżku, po chwili znowu opadł na haftowane, przybrudzone poduszki. Starzał się nie myśląc.

Za oknem, na dole, klaskały po rzadkich kamieniach dróżki konskie kopyta.

(Dzisiaj rano, w biurze, Jasiak rozmawiał z kolegami. Oczywiście nie starał się sprowadzić rozmowę na interesujący go temat. Sama zeszała. Nie, oni by go nie potępilli, wręcz przeciwnie. Siedzieli w paru naokoło Jaśka. Przez dużą szybę siało się na nich światło słoneczne, wykreślało w powietrzu smugi kurzu. Brzęczały muchy. Szczególnie dużo mówił jeden z nich, starszy, chudy Jasiak od dawna przymuszał, że to banderowiec. Jeszcze przed wojną pracował w niemieckim wywiadzie. Sta-

chający przytakiwali mu z powagą, widać było, że zazdrościli. Dorzucali od czasu do czasu jakieś słówka, nie różnili się w poglądach. Jasiak wtedy przez chwilę czuł się dobrze. Wszystko było jasne i proste, wszystko było na swoim miejscu.

Ale dwa spotkania na ulicy, kiedy wracał z pracy, znowu nim wstrząsnęły przez swój znaczący kontrast. Z chodników podnosił się kurz i osiadał na drzewach, obrastających szpalerami jezdnie. Krystyna stała na rogu, w jasnej, perkalowej, niemal przezroczystej sukience, jakby na niego czekała.

Wzięła go pod rękę i poszli w dół ulicy, nawet nic nie mówili. Przyciskał do siebie jej ramię. Wspomniała coś o Weisemannie. Jaśkowi zdawało się, że ona o wszystkim wie, ale o nic nie pytał. Kazała mu przyjść wieczorem, obiecała, że pójda jutro na stawy. Pocałował ją w rękę i stał, patrząc za odchodzącą. Wymięła przejeżdżające właśnie auto, zaszała za stojącą po drugiej stronie ulicy furę i zamajaczywszy jeszcze Jaśkowi jasną sukienką zniknęła za rogiem. Wtedy Jasiak poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się szybko i zobaczył Ryśka Kitowicza.

Stał z rękami w kieszeniach, z pochyloną głową, okulary zjechały mu na koniec nosa, nawet ich nie poprawiał. Miał rozczochrane włosy.

— Znowu jesteś w łaskach, co? — zapytał.

Widać było, że pił. Poszedł z Jaśkiem kawałek. Słowa rwały mu się z ust niepowiązane, czasem bezsensowne. Wyjeżdżał, niech szlag trafi tą dziurę, zostawia Jaśkowi całe cholerne szczęście, niech się cieszy, póki może. Jasiak pozeg-



nał się z nim przedko, z uczuciem prawdziwej ulgi. Drzewa rzucały wątle, zakurzone cienie, jakby same zamarły w oczekiwaniu wieczoru).

Skrzypnął zóraw za oknem. Jasiak zapalił papierosa i patrzył w żarzący się punkt.

— Zaszany sentiment — mruknął, ale starał się nie myśleć o tym za dużo.

(Napisał do Weisemanna krótki bilecik, zaraz po południu. Po co było zwlekać? Pewnie z nim się spotka wieczorem u Krystyny).

Leżał nieruchomo, pragnąc tak leżeć cały dzień, żeby przewlec choć trochę chwilę spotkania z Weisemannem.

Zatrzeszczały schody. Ktoś wchodził wolno, postępując. Jasiak posłyszał dopiero, kiedy Browarczukowa otworzyła drzwi. Stała w nich nieruchoma, w swoim zatłuszczonym szlafroku.

— Co ci jest Jasiak? — zapytała — wylegujesz się i ćmisz. Chodź pomóż Maryśce zciąć drzewo z wózka.

Leżał z zacisniętymi zębami, trzymając w ręce zgasły papieros, jak by nic nie słyszał.

O krytyce teatralnej mówi się nie-
zbyt wiele. Próbowano podjąć po-
dobną dyskusję w sezonie 1946/47 na
łamach „Teatru” — skończyło się
na kilku ledwie wypowiedziach. Coś
tam dorzuciły od siebie „Listy z
teatru”, milczały dość zawzięcie
„Scena i widowia warszawska”,
„Łódź teatralna”, milczały niemal
wszystkie nasze tygodniki literac-
kie.

Wydaje się, iż przyczyną tego zaniedbania jest brak podstaw do dyskusji.

Wypowiedzi w ramach dyskusji np. literackiej obracają się wokół jakichś tam wzorów, jakichś tam tradycji.

Wokół jakich tradycji, wokół jakich wzorów skupić się ma myśl krytyka teatralnego?

Zbierając materiał do niniejszej wypowiedzi dość skrupulatnie wy-
notowywałem wszystkie nazwiska, na które w ten czy inny sposób po-
woływali się moi poprzednicy. Oko-
ło 20 pozycji. Boy, Lorentowicz, Irzy-
kowski, Siedlecki, Grubiński, Wie-
rzyński, Słomiński, Maśliński. Ko-
rzeniowski, przed nimi Wł. Bogu-
sławski, Ehrenberg, Adam Zagórski.

Kto z nich stworzył tradycję? Kto z nich może być wzorem?

Polska krytyka teatralna nie ma swego historycznego i zarazem krytycznego opracowania. A przecież niewiele jest młodsza od naszego teatru.

I oto nasuwa się wniosek: niezbędnym elementem do rozwikłania problemu krytyki współczesnej, do wytyczenia drogi na przyszłość jest zbadanie historii i zajęcie wobec niej odpowiedniej postawy.

Wówczas zniknie wychwalanie tych, którzy wiele popełnili błędów, znikną może tak częste dziś w wypowiedziach frazesy, slogany, schematy, teoretyczne wzorce, a znajdzie się wspólny język, znajdą się konkretne podstawy do dyskusji.

PIERWSZA SPRAWA GŁÓWNA

Trudno zgodzić się z Brezą, który twierdzi, iż recenzji nie pisze się dla kulis tylko dla widzów. Rację ma raczej Natanson, pisząc: że:

„krytyk teatralny ma — do pewnego stopnia — Janusowe oblicze. Mówi do ludzi teatru imieniem społeczeństwa. Ale mówi także do publiczności — imieniem teatru. Jest częścią widowni, jednym z tłumy, człowiekiem z „tej” a nie z „tamtej” strony rampy. Ale jest także ambasadorem sztuki teatralnej wobec widzów, zwracającym uwagę na to wszystko, co dostrzec i zrozumieć nie łatwo” („Teatr” 4—5/1947).

Odpowiedź więc będzie prosta: praca krytyka teatralnego przeznaczona jest dla teatru w pełnym, najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc służy zarówno scenie jak i widowni.

Trzeba by było zatem ustalić prawa i obowiązki krytyki w stosunku do obu części składowych.

Zacznijmy od sceny.

Opowiada Wiktor Brumer, że na pewnym zebraniu naszych gwiazd jeden z poważnych aktorów powiedział mi mniej ni więcej:

„w ciągu mojej długoletniej pracy scenicznej niczego się nie nauczyłem od krytyki”.

Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, iż głos ten to opinia większości ludzi teatru o naszej pracy. Na jubileusz 35-lecia pracy Karola Adwentowicza, który właśnie obchodził złote gody ze sceną, pisał Leon Schiller:

„Od czasów Wojciecha Bogusławskiego szczeniemy się wciąż, mosterdzieju, karmazynową obojętnością w stosunku do krotkich chwil i różnych widowisk, przez komediantów wyprawianych. Apla-

udujemy czasem ich sztukę łaskawie, dziwnym się nawet skąd się on w tych chudopacholkach bierze, lecz pisać o tym się nie godzi. Stokroć ponętniejszą rzeczą jest rozwodzenie się nad zaletami czy usterkami jakiejś bezwartościowej ramoty niby — literackiej, niż wierny opis lub obszerniejsza ocena gry aktorskiej, albo całego przedstawienia, co tę ramotę znośną dla widowni uczyniły. Na tym trzeboby się przecieć znać, a wstyd wyznać, że tak nie jest, więc końcowe kadencje felietonu teatralnego, w którym sprawozdawca stara się przede wszystkim zainteresować sobą, ograniczają się jedynie do zdawkowych komplementów



Teatr Kameralny w Warszawie. Sander Gergely: „Sprawa Pawła Eszteraga”. Tadeusz Woźniak i Władysław Godik.

tów złożonych aktorom, lub też niewybrednych szyderstw i obelg”. Taką samą pretensję mają do nas prócz aktorów (Schiller w cytowanym fragmencie w ich obronie występował) reżyserzy, scenografowie. Każdy z nich zarzuca nam przede wszystkim brak znajomości praw rządzących pracą aktora, reżysera, scenografa.

Od zarzutów przechodzi się do prawodawstwa. Jeden z programów dla krytyki teatralnej, postulowanych przez ludzi teatru, referował nam w r. 1946 Edward Csato:

Trzeba „aby recenzja teatralna była rzeczowym sprawozdaniem ze spektaklu, sprawozdaniem, w którym zostaną poddane fachowej krytyce wszystkie elementy widowiska teatralnego. Recenzji takiej nie podobna napisać, jeśli nie posiada się odpowiedniej wiedzy z zakresu teatrolologii. Stąd prosty wniosek: recenzent ma być teatrologiem”.

Takie są wymagania. Czy słuszne? Nie chciałbym wykręcić się od odpowiedzi na to pytanie w sposób wypracowany przez Boy’a, który uroczo, ale jakże wymijająco mówił:

„Wymyślają nam, recenzentom, że nie bardzo piszemy o grze aktorów: co do mnie, wyznaję, że nie bardzo wiem jak się o tym pisać. To tak jakby opisywać zapach róży albo hiacenty. Powąchaj”. Tom 10, str. 184).

Sprawę trzeba potraktować inaczej. Poważnie. Krytyka teatralna musi przyjąć na siebie pewne obowiązki w stosunku do teatru. Może jednak, nim do tego przejdziemy, kilka słów o prawach, które teatr winien przyznać recenzji.

Trzeba się jakoś umówić z ludźmi teatru co to jest krytyka. A różnice pojęć tutaj zachodzą i to bardzo istotne.

Tak długo, jak długo teatr będzie obdarzał swoimi względami tylko tych recenzentów, którym z reguły wszystko się podoba — tak długo

Mieczysław Markowski

nie znajdziemy wspólnego języka. Nie wolno wymagać od nas zdan nieobiektywnych. A tak się niestety zdarza.

Dobrym krytykiem w oczach wielu ludzi teatru jest ten, który chwali. I o dziwo: wówczas nic się nie mówi o znajomości rzeczy, o teatrolologii. Obowiązek studiowania szeregu nauk z zakresu teatrolologii nakłada się w pierwszym rzędzie na tych, którzy dopatrują się w spektaklu, w grze, wad. A czasem naprawdę zdaloby się odwrotnie.

Krytyka ma wskazywać zalety i błędy pracy teatralnej. Nie wystarczy ani tylko jedno, ani tylko drugie. Konieczne jest i jedno i drugie.

Władysław Bogusławski nie sympatyzował z Wincentym Rapackim i złośliwie kiedyś pominął go w recenzji. „Odtąd dwadzieścia lat nie czytałem recenzji o sobie” — chwalił się; czy żalił Rapacki.

Krytyk popełnił błąd zasadniczy, błąd, który go dyskwalifikuje. Reakcja Rapackiego nie świadczy zbyt pochlebnie o tym wielkim skądinąd aktorze.

Jeden z dziś urzędujących dyrektorów teatru, człowiek teatru i literat w jednej osobie, oświadczył mi dwa lata temu: „Ja... proszę pana — nie czytuję recenzji”. Ale ów dyrektor teatru przy każdej okazji wieszka psy na krytyce teatralnej, domaga się reform. Krytycy teatralni orientują się jako tako w pewnych różnicach struktury psychicznej, zachodzących między nami a ludźmi teatru: nadwrażliwość jest chorobą zawodową aktora, chorobą zresztą raczej potrzebną, choć przykłą. Nie możemy jednak w ustępstwach swoich posuwać się zbyt daleko, zmieniać się w pensjonarki zabiegające o autograf. Najszym obowiązkiem jest ocena. Sprawiedliwa ocena. Wykonywanie tego obowiązku jest pracą tak jak każda, domagającą się dla siebie szacunku. Tylko w zamian za to przyznać możemy prawo do krytyki naszej działalności, prawo do jej postulowania.

Wróćmy do pytania: czy sprecyzowane przez Csato dezyderaty teatru są słuszne? Trzeba by chyba dokonać pewnego rozdziału pojęć.

Wydaje się, iż błędnie i niepotrzebnie utożsamiamy ze sobą dwu ludzi: krytyka i recenzenta.

Krytyk powinien być teatrologiem. Nie ulega żadnej wątpliwości. Teatrologiem — naukowcem. Ten tylko szkopol, że mamy wprowadzić kilku teatrologów, a ani jednej krytyki. Mamy prawo oczekiwać na łamach „Teatru”, „Listów z teatru”, „Rzeczy teatralnych” itp. periodyków fachowych, źródłowych, analitycznych krytyk na temat „Hamlet” w ujęciu Wyrzykowskiego, „Lubow Jarowaja” w interpretacji Dąbrowskiego, oprawa sceniczna „Ostatnich dni” — zamiast tych prac krytycznych otrzymujemy szkice literackie lub... dekalogi dla recenzentów.

A recenzent? Czy obarczenie krytyków obowiązkiem znajomości tajemnic teatrolologii uwalnia od konieczności nauki tej ciekawej gałęzi wiedzy? Absolutnie nie. Rzecz tylko w tym, że recenzent pisze nie tylko dla teatru — pracuje on również dla widowni, która naukowych dysertacji nie wymaga a która w zamian za to potrzebuje ogólnego rzutu oka na całość spektaklu.

A więc dezyderaty teatru, nakazujące skrupulatną i obszerną ocenę gry aktora, pracy reżysera i scenografa, choćby nawet kosztem po-

PROBLEM RECEN

minięcia tak ważnego elementu spektaklu, jakim jest dzieło dramaturga — skierowane są pod właściwym adresem. Recenzenci teatralni, uznając konieczność zajęcia się w swej pracy oceną wysiłków ludzi teatru, oceną a nie zdawkowym skwitowaniem, nie wysuną jednak tego zagadnienia na plan pierwszy — co innego należy do ich obowiązków.

A co? o tym za chwilę. Skończmy z obowiązkami wobec teatru.

Wspomniany tu już kilkakrotnie Boy inny nieco od mistrzów sceny i surowych teatrologów — prawodawców miał pogląd na robotę recenzenta. Równie wiele obowiązków, ale jakże one brzmią przyjemnie:

„Recenzent teatralny, to osobistość, która musi kojarzyć w sobie najsprzeczniejsze przymioty: błyskawiczność kochanka, wytrwałość historyka, bywalstwo glob-trottera, no i radosną wrażliwość dobrze wychowanego dziecka, które za każdą zabawką znaną pod drzewem, bije z zapalem rączkami i woła: „caca”.

(Tom VIII, str. 305).

„Krytyka, to nie jest jakiś sztywny urząd miar i wag; przeciwnie, krytyka jest czymś w rodzaju ogrodnika, który wedle sił swoich, zależnie od potrzeb gruntu i chwili, podpira, chroni, podlewa, to znów przycina wybujałości, plewi i wyrzywa zielska”.

(Tom XV, str. 227).

W tej pogodzie sformułowań nie należy się dopatrywać mniejszej wagi nakładanych obowiązków. Są one równie trudne. Dlatego też przystępując do próby ustalenia obowiązków recenzenta w stosunku do teatru nie możemy przyjąć referowanego przez Csato drugiego, minimalistycznego programu, który głosi:

„Zrezygnujmy na razie z wygórowanych i nie dających się zrealizować żądań i wymagajmy jedynie tego, co konieczne: a więc żywego stosunku dla teatru w ogóle, szacunku dla pracy zespołu, wykonującego dane przedstawienie i taktu, rugującego z recenzji zjadliwe kpinki i blagierskie śmieszne komplementy”.

To jest stanowczo za mało. Na to zresztą nie zgodzi się również i Csato.

Warunki, wchodzące raczej w zakres etyki, o której świadomie tu nie wspominał wychodząc z założenia, iż nieczym ona nie odbiega od ogólnej etyki pisarskiej, trzeba uzupełnić jakimś ostrożnym sformulowaniem obowiązków, obejmujących



Teatr Kameralny w Warszawie. Sander Gergely: „Sprawa Pawła Eszteraga”. Halina Michalska, Wilhelm Wichurski i Seweryna Broniszówna.

zakres fachowości. Wyglądałoby to może mniej więcej tak: Konieczna jest przynajmniej encyklopedyczna na wstępie działalność znajomości zasad techniki gry aktorskiej, pracy reżyserskiej i scenograficznej, znajomość stale pogłębianą zarówno drogą studiów teoretycznych, jak

poprzez osobiste, możliwie najczęstsze kontakty z ludźmi teatru, poprzez zagładanie dzieła dramaturga (przez zespół techniczny jest elementem dużego znaczenia). Resztę uzupełni doświadczenie nabierane na każdym obejrzanym spektaklu.

Wspaniałą okazję do nauki — do dajmy to na marginesie — jest doświadczenie możliwości obejrzenia tej samej sztuki opracowywanej przez różne teatry. Okazji tej nie powinno się nigdy pomijać.

DRUGA SPRAWA GŁÓWNA

Wyodrębnić trzeba koniecznie zespół elementów, składających się na powstanie spektaklu dzieła dramaturga. Może istnieć krytyka teatralna nie zajmująca się dramatem, poprzestająca na ocenie realizatorów czy wykonawców — nie może być takiej recenzji. Widz idzie do teatru w najlepszym dla odbiorców wypadku w równym stopniu dla sztuki, jak i dla treści sztuki. Recenzent nie może tej części spektaklu pominąć.

„Teatr zawsze bardziej mnie obchodził od strony literatury a przede wszystkim od strony życia” — mówił Boy. (Przedm. do VIII).

Może źle, że bardziej, może to trochę krzywdzi teatr, ale wolę taką postawą niż odwrotną.

Tekst literacki to sens społeczny teatru. Przez dzieło pisarza teatru spełnia swą rolę wychowawczą w stosunku do widzów. Recenzent musi w swojej pracy pomóc społeczeństwu technicznymi konwencjami pisarzowi i działającej w określonym tylko zakresie możliwości scenicznej koncepcji sztuki. Występuje on tu w roli niezbędnego komentatora.

Słusznie przeto do spisu obowiązków dorzuca Słowicki, że recenzent:

„Ocena przydatność i aktualność widowiska dla widowni jako tłumacz przewodnik sprawy, który wyjaśnia szerokiemu ogółowi stanowisko i założenia inscenizatora i reżysera, a bardzo często zastępuje autora w dopowiedzeniu tego właśnie, czego autor w dziele dramatycznym uczynić nie mógł, a co dla wnikliwego krytyka jest jasne. Tu musi być częścią społecznikiem, psychologiem, socjologiem i politykiem”.

„Ocena przydatność... widowiska” — mówi Słowicki — tzn. wpływ na linię repertuarową teatru.

Chciałbym tu wrócić na chwilę do cytowanej wyżej wypowiedzi L. Schillera: „Stokroć ponętniejszą rzeczą jest rozwodzenie się nad zaletami czy usterkami jakiejś bezwartościowej ramoty niby — literackiej, niż... ocena gry aktorskiej”. Zdanie to jest niezbyt szczęśliwie użyta broń bardzo obosieczna. Jakże mogą być zalety „ramoty niby — literackiej”. Jeżeli idzie o wady — tak musi być. Ponętniejsze — sformuujemy to inaczej — ważniejsze, potrzebniejsze jest rozwodzenie się nad wadami tej ramoty, niż nad grą aktorów stała się w tej chwili niepotrzebna. Niczego nie uratuje. Trzeba postawić pytanie zasadnicze: skąd się ta „niby — ramota literacka” wzięła na scenie. Po co się ją gra — niechby nawet świetnie. W takiej sytuacji obowiązkiem recenzenta jest przede wszystkim walka z treścią sztuki, a nie pochwała jej scenicznej realizacji.

Sprawa stosunku recenzenta do współczesnej twórczości dramaturgicznej jest dziś jednym z podsta-
wowych zagadnień jego pracy.

ZJI TEATRALNEJ

Nie można jeszcze przyjąć, że całkowicie mamy już za sobą rewolucję, która zniosła z afiszy wszelką szmirę, wszelkie pozycje szkodliwe lub tylko niepotrzebne. Repertuar naszych teatrów organizuje i ustala Ministerstwo Kultury i Sztuki, ale i tu powstać mogą błędy. Nikt nie jest nieomylny. Min. Sokorski, podkreślając w Oborach stałe zmiany na lepsze, powiedział:

„nie należy przez to rezygnować z krytyki poszczególnych pozycji”.

Nigdy za wiele czujności na tak ważnym odcinku. Nie to jest jednak najważniejsze.

Rewolucja teatralna w Polsce dokonała zasadniczej zmiany w stosunku teatru do pisarza polskiego. Zmierzamy świadomie i słusznie do faworyzowania własnej dramaturgii. Pomoc w tym musi i recenzent teatralny. Oczywiście nie w tym znaczeniu, by bezkrytycznie wynosił pod niebiosa wszystko to, co wyjdzie spod pióra polskiego pisarza, ale by zajął wobec jego dzieła postawę specjalnie troskliwą, specjalnie opiekuńczą i... specjalnie krytyczną. Pod krytyką rozumiem tu nie złośliwe doszukiwanie się błędów i usterek lecz jak najwnikliwszą ocenę zalet i wad zarówno pod względem ideologicznym, jak i formalnym, ujmującym przydatność dzieła dla teatru. Tak pojęta krytyka pomoże pisarzowi, nahlrze wartości dydaktycznych i wychowawczych

„Wprawdzie — mówił min. Sokorski — w licznych krytykach czytamy hymny pochwalne na temat tego, jak wiele się zmieniło na lepsze w teatrze. Chodzi nam jednak o coś innego — o pogłębienie zagadnień, o właściwy stosunek do współczesnego repertuaru, o dążenie do uchwycenia nowej problematyki... Chcielibyśmy aby krytyka zdawała sobie z tego sprawę, że aby dojść do teatru wielkich form, który będzie dumą naszej epoki, będziemy szli poprzez sztuki, które są z tych czy innych względów słabsze, ale które posiadają pewien konieczny ładunek ideologiczny i ładunek talentu. Nie można oczywiście wprowadzać do naszego teatru gra fomaństwa, ale będziemy walczyć o autorów poszukujących, próbujących

swych sił nawet przy brakach technicznych, przy niezności teatru”.

Nic tu ani ujmować, ani dodawać nie trzeba.

TRZECIA SPRAWA GŁÓWNA

Pozostaje nam sprecyzowanie układu stosunków między recenzentami a widzami.

Zagadnienie bodajże najważniejsze, a najmniej ciągle jeszcze doceniane.

Kiedys — jak opowiada Adam Zagórski — społeczność oglądająca uroczystości dionizyjskie, zechciała się uwolnić od przykrego obowiązku wydawania wyroku, rozstrzygnięcia o zwycięstwie tego czy innego zespołu. Wobec tego wydelegowała ze siebie rzeczników. Zadaniem ich było patrzeć, milczeć i oddać swój głos w głosowaniu tajnym. Ważne jest to, że owi kłtci — krytycy milczeli. Później obok milczących a powołanych zjawili się mówiący a niepowołani. Nikt ich o pośrednictwo nie prosił, a mimo to stali się pośrednikami. Zaczęli kształtować zdanie opinii publicznej. Zaczęli narzucać swoje poglądy. I oto powoli widownia stała się — tak się to przynajmniej niektórym zdawało — bezmyślnym stadem, któremu trzeba było powiedzieć jak ma patrzeć i jak ma widzieć spektakl teatralny.

Przekonanie to łatwo było utrwalić choćby wskutek zdecydowanego milczenia widowni. Ot, niewielki jakiś liścik redakcyjny i to wszystko.

I nagle niespodzianka. Jedem, drugiem, trzeciem, a potem wszystkim — ot, ów dzień urządzony wskazuje na to, że nasza dzisiejsza widownia ma swoją własną opinię o oglądanym spektaklu, często bardzo trafną, często słusniejszą od naszej, choćbyśmy nie wiem jak bardzo starymi byli już wygami.

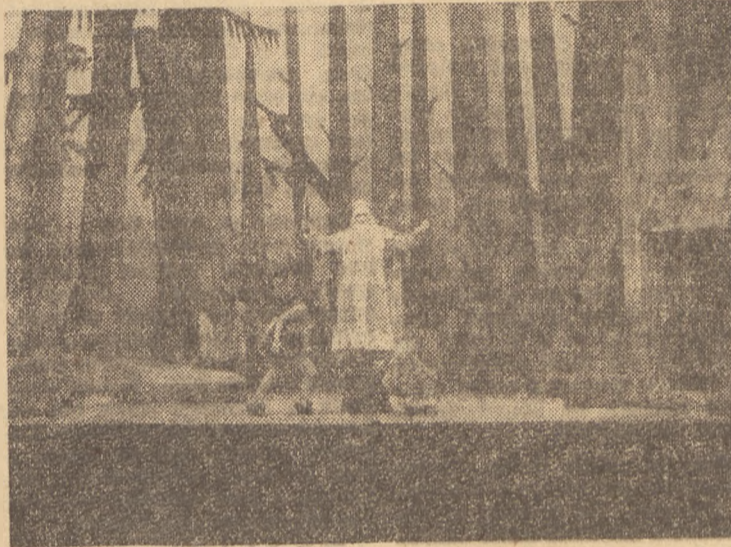
Takiej recenzji, jaką dali widzowie z „Pafawagu“ o „Moskiewskim charakterze“ nie napisał nikt z próbujących to uczynić pisarzy. Takiej pod względem szczerości i wnikliwości.

I oto rysuje się przed nami nowy postulat.

Mówi Wanda Melcer:

„Zjawisko „nowego krytyka“ musi być ściśle związane ze zjawiskiem „nowego widza“.

Na czym polega ta „nowość“ widza i „nowość“ recenzenta? Na tym, że na widowni zasiedli dziś inni niż dotychczas widzowie, nie zbliżeni kawiarnianym snobizmem, ludzie pracy traktujący teatr ze szczerem i należytych tej placówce uznaniem i szacunkiem. Świeżość tej widowni przejawia się przede wszyst-



Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach: „Baladyna”. Reżyseria: Wład. Woźniak. Dekoracja: Wiesław Makołaj. Na zdjęciu od lewej: Hal. Płatówna, dyr. Wł. Woźniak i Zofia Wiołńska.

kim w jej zdrowym spojrzeniu na świat, w ostrym, trafnym krytycyzmie. Takiego widza nie uda się omamić, odkryje każdy fałsz, dojrzy błędy zarówno teatru, jak i krytyki. Recenzent mówi tylko za siebie — wygrywa, gdy sąd jego jest zbliżony z sądem widowni, przegrywa, gdy usiłuje — wzorem lat dawnych — narzucić swój fałszywy, ubocznymi względami dyktowany pogląd.

Aby widzieć zjawiska, dziejące się na scenie, tak jak reszta widowni, trzeba patrzeć tymi samymi oczyma. Byłoby to wadą, gdyby widownia miała wzrok słaby, zamglony lub gdyby patrzyła przez jakieś okulary a nie spojrzeniem prostym, życiowym — jest zaletą wobec stwierdzenia, iż widownia widzi trafnie.

Czy nie ma przesady w tej ocenie nowej widowni? Nie. Może ona nie umieć jeszcze, lub po prostu nie mieć czasu na pełne, trafne sformułowanie, wyrażenie swej opinii — i tu zastąpić ją musi recenzent, pod warunkiem, że w trafne i prawdziwe słowa ubierze trafne i prawdziwe wrażenia widowni.

Dlatego recenzent winien się z widownią żyć, nauczyć się ją rozumieć, jej uszami słyszeć, jej oczyma patrzeć, jej uczuciem przeżywać.

Ten związek z widownią potrzebny jest jeszcze i z innego względu. Coraz częściej na scenie pojawiają się sztuki, które zamykają w artystycznej transkrypcji fragment życia i walki o nowe życie tej właśnie nowej widowni. Słusznie wspomina o tym Jackowski w „Odrodzeniu”. Jeśli recenzent z innej części planety, nie dostrzeże związku między sceną a widownią, nie dostrzeże, że w ten prosty sposób nastąpiło znowu wspaniałe połączenie się obu sztucznie rozrywanych elementów teatru w jedną całość, nie zrozumie ani sztuki, ani reakcji widza. Taki recenzent będzie w teatrze obcy, niepotrzebny. Jakżesz po-

trafi on ocenić pracę aktorów, odtworzających postacie w sztuce Kani, gdy nie będzie mógł doszukać się różnic albo cech wspólnych między sylwetkami żyjącymi na scenie, a majstrem szlifierskim, oglądającym spektakl z widowni.

Współżycie recenzenta z widownią zacząć trzeba od bliższego poznania. Mimo teoretycznych rozpraw (taki przecież charakter miały i moje przed chwilą wypowiedziane słowa) o naszym nowym widzu wiemy ciągle jeszcze zbyt mało. Piszemy jednak recenzji domaga się od nas robotnik — ale czynimy to tylko na podstawie własnych domysłów, na podstawie tradycyjnej skłonności do dyktowania. A prawda ciągle jest nie w nas — choć obok nas. Nie zna-

I jeszcze jedno: teatr Polski współczesnej jest instrumentem polityki. Dlatego ma rację Wanda Melcer, pisząc:

„żądany od... recenzenta... by miał ustalone poglądy polityczne i społeczne”.

WOLNE WNIOSKI

1) Powiedziałem przed chwilą: szacunek za szacunek, krytyka za krytykę.

Warto by zerwać pieczęć milczenia z ust ludzi teatru, z ust dramaturga, z ust widza.

Złe jest, gdy zrozumiał aktor, czy reżyser uważa, iż wyrósł ponad to, co powie o nim recenzent i gdy nie usiłuje podjąć dyskusji nad zarzuconymi mu usterkami.

Złe jest, gdy autor sztuki odpowiada: „nie należy do moich obyczajów polemizować z recenzentami”. A co? — korona z głowy spadnie? To nie jest postawa prawdziwego artysty. Prawdziwy człowiek (artysta nie artysta) broni swoich poglądów, pozwala się przekonać lub przekonywać innych.

Te dwie pieczęci zerwać trzeba perswazją — należytych postawieniem zagadnienia współpracy. Trzecia, pieczęć na ustach naszych odbiorców, zerwie się sama, gdy na to zasłużymy.

2) Recenzja nie jest wyrokiem — stanowi tylko i wyłącznie prywatną opinię piszącego. To warunkuje sposób pisania recenzji. Tylko niedorosły recenzent uważa się za vox populi. Ale jest podobieństwo między wyrokiem sądowym a publiczną wygłoszoną opinią: i jedno i drugie musi być głęboko, uczciwie umotywowane. To warunkuje styl pracy recenzenta.

Mieczysław Markowski

Józef Szczawiński

W pociągu

Jesteś lżejsza niż sen i cień zagubiony w przypływach nocy. Wypelniasz moje ramie włosami mniej dotykalnymi niż twój oddech, niż uderzenia serca. Nakazałaś ciszę kołom skandującym wiersze. Wypłoszyłaś przeloty iskier — za nami rzeczywistość szyn. Czy zdołasz zawrócić ciepło i ciemność — zwane ekspressem — z dróg mlecznych których jest tak wiele jak wiele jest myśli zawieszonych u powiek śpiącej.

Zdjęcie

amatorskie

Powierzyłem chwilę doskonałości soczewki, fałszywym cudom chemii, sprężynce, która żyje krócej niż miligram sekundy. O b i e k t y w — jest precyzyjny i martwy jak umysł mędrca. Kolor, ciepło i kształt przeżycia zachowamy w wilgotności żręnic, w koniuszkach palców, w szepkach serc i zegarka.

Już ukazała się w sprzedaży
powieść

GEORGES BERNANOS
PAMIĘTNIK
WIEJSKIEGO
PROBOSZCZA

nakładem sp. wydawniczej „PAX”

Cena 900 złotych

Skład główny „Veritas”

W-wa Nowokrucza róg Widok

Na półkach księgarskich

Dialog o miłosierdziu Bożym

Grecja pod dyktando

Wydawnictwo kieleckie „Verbum” dobrze się zasłużyło sprawie kultury katolickiej w Polsce, wydaniem w ubiegłym roku „Dialogu o Miłosierdziu Bożym” świętej Katarzyny ze Sieny. Jest to bowiem, moim zdaniem, jedno z najpiękniejszych i najgłębszych dzieł teologii katolickiej, jakie zostały napisane w ciągu całej historii Kościoła. Zaraz na wstępie należy podkreślić rzeczy powierzchowne, ale przez to właśnie uderzające, bo świadczą one o poważnym stosunku do wydawanych

książek, a więc zarówno piękny, staranny przekład Leopolda Staffa, jak poważną, pełną prostoty i umiaru stronę graficzną, tak bardzo odpowiadającą wzniosłej, szlachetnej, jasnej i pełnej naturalności treści.

Książka omawiana jest równie prawdziwa, jak jej autorka, której postać i życie są równie zdumiewające w swej wyrazistej nadprzyrodzonej, jak życie i indywidualność św. Joanny d'Arc. Córka farbiarza ze Sieny, dwudziesta czwarta z rządu, niepiśmien

na aż do śmierci, od szóstego roku życia wieździe najbardziej szczytny, bohaterki, pełen niesłychanych uczynków pokuty i miłosierdzia żywot. Występuje jako pokojowa pośredniczka między państwem kościelnym i miastami włoskimi, kładzie kres schizmie zachodniej, sprowadzając z Avinionu do Rzymu ostatecznie papieża, wbrew intrygom kardynałów i króla francuskiego. Prowadzi obszerną korespondencję z wybitnymi współczesnymi osobistościami, używając do tego po kilku sekretarzy, którym jednocześnie dyktuje kilka listów, tak, że każdy ma zajęcie bez przerwy, choć pisze co innego, niż koleśdy. Skupia wokół siebie grono oddanych osób, z których tworzy coś w rodzaju rodziny klasztornej, której członkowie nazywają ją „mama”. Umiera w r. 1380, a 33-im roku swego życia, przeżywszy i dokonawszy więcej, niż wielu starców razem wziętych. Jej życie do tej pory zadziwia ludzką czystością, prostotą, zapalem, szlachetnością, prawością i podniebnymi wzlotami ducha.

Zostawiła po sobie listy i „Dialog”, uznane przez najwybitniejszych krytyków literatury włoskiej za perły klasycznej włoszczyzny. „Dialog” jest streszczeniem jej poglądu na życie, odczytanie na życie nadprzyrodzone, bo Katarzyna przede wszystkim takie uważała i takim żyła. Kościół uznał to dzieło za absolutnie czyste pod względem prawowierności, a Zakon Kaznodziejski słusznie nim się chlubi, jako perłą literatury dominikańskiej, bo św. Katarzyna była tercjarką tego zakonu i w jego duchu żyła i pisała.

„Dialog” jest obszernym dziełem, bo dwa tomy obejmują przeszło 500 stron druku. Sekretarze, którzy je spisywali, podają, że powstało ono podczas ekstazy, która trwała około sześciu dni i w tym też czasie zostało poddyktowane w całości. Rzecz to oczywiście trudna do pojęcia, ale jeszcze trudniej jest odrzucić wiarygodność sekretarzy, ludzi prawych, którzy prawie wszyscy zostali później zakonnikami i doszli do wielkiej świętości i dostojności. Zresztą, przemawia za tym i sama doskonałość dzieła, które, mimo wielkości, jest jakby jednym porywem natchnienia chwili.

Nazwa „Dialogu” pochodzi od formy dzieła, w którym autorka pyta Boga, a Bóg jej odpowiada i wyjaśnia. Jest to rozmowa duszy z Ojcem - Stworzycielem. Nie sposób zdać z niej sprawy w krótkiej recenzji. Rozmowa bowiem dotyczy całości życia duchowego w wierze katolickiej. Kto uważnie przeczyta „Dialog”, ten będzie znał dokładnie naukę Kościoła o zbawieniu. Ten podręcznik może wystarczyć za wszystkie tomy teologii moralnej.

Jedno mnie szczególnie uderza w tej książce. Mówi ona o rzeczach zawiłych i trudnych, bo z konieczności abstrakcyjnych. Jednakże te rzeczy są w „Dialogu” zupełnie konkretne, nie ma ani śladu suchości i oderwania abstrakcyjnego. Dla wielkiej mistyki te rzeczy nie były bowiem abstrakcją, ale praktycznym, konkretnym życiem. Dlatego mogła je przedstawić szczegółowo, ale nad podziw porządnie, jasno i żywo.

Główną myślą dzieła jest, jak wskazuje podtytuł, niezmiernie, niepojęte miłosierdzie Boże, które tak wszystko urządza, żeby każdy człowiek się zbawił i to z własnej zasługi, mianowicie przez miłość do ludzi i ufność w Boga. Potępią się np. ten, kto w chwili śmierci myśli o swych grzechach, nie o miłosierdziu Boga, sądząc, że jego grzechy przewyższają dobro Boga. Jest to pycha, na którą już nawet Bóg nie ma lekarstwa, bo miłosierdzie Jego nie ma dostępu do duszy grzesznika.

Książkę tę powinien poznać każdy katolik, bo rzadko można spotkać dzieło, w którym czysta nauka katolicka jest równie żywo i jasno wyłożona. Obok praktyki życia i nabożeństwa, konieczne jest zanurzenie się czasem w nurt czystego nadprzyrodzonego natchnienia, którym żył i oddychał wielki święty.

W. J.

POPIERAJĄCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Powieść Kedrosa *) to obraz Grecji z r. 1939. Grecji monarchistyczno-faszystowskiej. Obraz ten uwzględnia szeroką skalę środowisk i typów ludzkich. Znajdziemy tam intelektualistę - poetę, studentów - rewolucjonistów, malarzę i inżyniera, wysokich urzędników państwowych i wojskowych, przemysłowców, kupców, popów i wreszcie - najszerzej potraktowanych - robotników.

Wszystkie te obrazy zgrupowane są wokół zreczenia przeprowadzonej intrygi, jaką jest budowa okrętu w zainicjowanym warsztacie w głębi łądu. Dzieło temu, podjętemu entuzjastycznie przez robotników, starają się za wszelką cenę przeszkodzić sfery przemysłowe. Zwycięża ostatecznie inżynier, bo statek poprawnie wodzi, chociaż zainteresowani budową statku rewolucjonisci ulegają faszystowskiemu terrorowi.

„Statek w mieście” napisany jest żywo i interesująco - a to duża zaleta. Nie jest on jednak wolny od niepokojących skrótów, uproszczeń i schematów, często ogólnie stosowanych. Tak np. „klisze” karierowicza - oficera, drzemającego mnicha czy przeintelektualizowanego studenta Manosa nie należą do trudnych osiągnięć pisarskich. Denerwuje też wątek erotyczny: nie wiadomo dlaczego książka o temacie

zasadniczej zaczyna się perwersyjnym opisem roznegliżowanej erotomanki?! Niezupełnie również nowy jest motyw „skrzywdzonej i porzuconej”, osłabiający i zacierający kontury krzywdy społecznej, która przejawiała się właśnie m. in. w historii Aspazji. — Ale ogólne wrażenie, jakie wywiera książka na czytelnika, jest — jak już zaznaczyłem — dodatnie. Nie jest ona oczywiście rewelacją, ale nie odkłada jej się z zalem. Sporo w niej scen „mocnych”, przekonywujących — Ateny w dniu wybuchu wojny, moment wodowania statku „Elleni”, obrazy ciekawe i udane artystycznie.

Osobnym zagadnieniem jest sprawa tłumaczenia (z franc.). Przekład jest — mimo małych usterek — udany. Sedno kwestii tkwi jednak gdzieś indziej: ani tłumacza, ani wydawca nie poinformowali czytelnika, kim jest autor książki i w jakim języku powstał oryginał. (Chyba autor nie jest Francuzem, — przeczyłoby temu nazwisko). A. Kedrosa naprawdę nie znamy i prosimy o informacje, które ułatwiłyby zrozumienie książki.

W. R.

*) Andreas Kedros: „Statek w mieście”. Przeł. z jęz. francuskiego Zofia Jareńko-Zytyńska. Okładkę proj. K. M. Sopoćko. „Czytelnik” 1949, str. 204.

Sirzały dobrze zatrute

Jest w zbiorze Brudzińskiego*) kapitalna humoreska o warszawskim taksówkarzu, który nie chciał wieść gości na Bielany, bo mu się to... nie opłacało. Ponieważ jednak gość się uparł, szofer — jak się to mówi — stawał na głowie, żeby swemu pasażerowi nie jazde wyperswadować. Szalał przy kierownicy, to znów udawał, że mu się coś zepsuło, jednak w końcu musiał jechać tam, dokąd zyczył sobie pasażer.

Zdawałoby się, ot, niefrasobliwa powiastka, grubo przesadzona, jak to zazwyczaj czynią słośliwi satyrycy. Tym czasem okazuje się, że jest to naprawdę „zatruta strzała”, trafiająca swym ostrzem akurat w tych, którzy na to zasługują.

Oto kilka dni temu w stołecznych dziennikach ukazało się ostrzeżenie pod adresem tych taksówkarzy, którzy uchylają się od wożenia pasażerów na tzw. „nieopłacalnych trasach”. Taksówkarze za odmowę jazdy będą karani w trybie administracyjnym poważnymi grzywnami pieniężnymi. Na tle tego — przykrego zresztą komunikatu — humoreska Brudzińskiego nabiera niezwykłej aktualności, ba, staje się nawet utworem wyższej użyteczności społecznej.

To samo zresztą dotyczy takich opowiadań, jak „Dymnik”, gdzie autor słusznie podkłada sobie z niektórych bezdusznych przepisów budowlanych, czy „Historia o dyrektorach”, w której piętnuje nagminną w naszym społeczeństwie tytułowanię.

Notatki warszawskie

Mamy bogate tradycje i mnóstwo książek o „niepokonanym mieście”. Poezje Artura Oppmana, opisy historyczne Wiktora Gomulickiego, powieści: społeczne Haliny Górskiej, nagrodzone książki Kazimierza Brandysa, czy Poli Gojazińskiej — oto cała kolekcja. Do niej przybyła nowa oryginalna i ciekawa pozycja — „Notatnik Warszawski” Stanisława R. Dobrowolskiego.

„Na początku nie było nic. Dopiero potem z chaosu wiosennych mgieł, jak ziemia w Starym Testamencie wynurzyła się ulica Przemysłowa. Obraz jej, słoneczny i zielony, jest moim najdawniejszym wspomnieniem, czymś co bym najchętniej nazwał bajecznymi dziejami mego życia — rozpoczynającą swą pierwszą opowieść „Co mnie z nią łączy”. Dobrowolski był dzieckiem warszawskiego robotnika. Toteż od młodych lat wzrastał wśród murów dzielnic proletariackich — Powiśla i Woli.

Z precyzją umiejętnego obserwatora, językiem potoczystym, wartkim, niezwykle prostym opowiada autor fragmenty swego życia, które charakteryzują warunki bytowania młodzieży proletariackiej owej epoki.

Dużym walorem książki jest jej bezpośredniość. Przy lekturze „Notatnika Warszawskiego” odczuwamy obecność autora, bo też ustrzegł się on przed nadaniem swej książce cha-

Od tytułomani krok do biurokracji. Na biurokrację nie żałuje autor swych „zatrutych strzał”, jako że jest to plaga przemożna i zakorzeniona wśród stanu urzędniczego i tylko konsekwentne ośmieszanie może stopniowo doprowadzić do jej zaniku.

Dwoma celnymi strzałami kładzie Brudziński pijaków wszelkiego autoramentu, pokazując przy okazji, jakie to opłakane skutki — w postaci delirium — sprowadza nadmiernie spożywany alkohol („Grypa”).

Satyre polityczną Brudzińskiego, która w „Szpilkach” ma swoich stałych czytelników, w omawianym zbiorze reprezentuje jedno tylko, niestety, opowiadanie p. t. „Pożyczka”. Jest to nader popularny i przystępny „wykład” gospodarczego planu Marshalla.

Całość, jako pracę doświadczonego w swym fachu satyryka, który momenty moralizatorsko - dydaktyczne zreczenie ukrywa pod wierzchnią warstwą humoru sytuacyjnego, czy też werbalnego — należy polecić wszystkim, którzy — jak mówi sam autor — „chcą się leczyć śmiechem”.

A jeśli, która z tych „zatrutych strzał” draśnie niekiedy czytającego, będzie to jeszcze jeden dowód, że zostały odpowiednio spreparowane.

G. K.

* Wiesław Leon Brudziński — „Zatrute strzały” — humoreski. „Książka i Wiedza”. Warszawa, 1949, stron 120.

Drugie oblicze Ameryki

Książkę tę napisał Vladimir Pozner przed dziesięć laty po sześciomiesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych. Porusza w niej szereg problemów, które były wówczas aktualne i dziś nie straciły swego znaczenia, toteż wydając obecnie owe szkice reportażowe, autor wniósł tylko pewne poprawki, nie naruszające całości.

Książka nie stanowi zwartej konstrukcji narracyjnej, lecz jest zbiorem najróżnorodniejszych reportaży, gęsto naszpikowanych krótkimi notatkami, zaczerpniętymi z gazet amerykańskich. Dzięki zastosowaniu swoistego stylu łączącego skrótowość niemal telegraficzną z plastyczną wymową barwnych opisów poszczególnych ważniejszych epizodów (np. sceny z życia górników amerykańskich) autor zdołał w sposób bardzo sugestywny roztoczyć przed czytelnikiem wstrząsający obraz życia tzw. „dół społecznych”, jednocześnie ukazuje rozkład moralny i regresję intelektualną większości społeczeń-

stwa amerykańskiego, przeżartego drobnoomieszczańskim styrem życia.

Stany Zjednoczone są — zdaniem Poznera — ostatnim krajem wielkiej mitologii. Siłą atrakcyjną USA wciąż stanowią miły Rockefellera — Lincoln i Forda, indywiduizm i demokracja. I właśnie przeciw tym mitom wymierzona jest książka Poznera, która — jak sam autor pisze — powinna stać się „bronią w rękę pogromców mitów”.

Przeciętny Europejczyk oślepiiony wizją eldorado bussinessu, dostrzega w Ameryce krainę bajecznych możliwości wzbogacenia się, będących rezultatem wolnej, nieskrepowanej działalności jednostki.

Pozner, patrząc na ustrój kapitalistyczny krytycznym okiem marksisty, dostrzega tam coś innego — nie tylko wspaniałe limuzyny, cicho sunące po asfaltowych ulicach, nie tylko sytych i zamożnych Amerykanów, siedzących w coctail-barach — ale także głodne dzieci murzyńskie, wałęsające się wśród uliczek Harlemu i bezrobotnych usypiających pod gołym niebem.

Dając ostry retusz barwnego obrazu życia amerykańskiego akcentując silnie kontrast bogactwa i nędzy, odsłania nam inną Amerykę, której patronuje nie Sztuka Wolności, lecz rewolwer gangstera i czek finansisty.

Wiele problemów, które przewijają się przez tę książkę, zastanowić może również katolików, którym nie obca jest wrażliwość na krzywdę społeczną.

J. D.

*) Pozner Vladimir — Stany nie bardzo Zjednoczone. PIW — 1950 r.

WNĘTRZE I WYSTAWA
WARSZAWA PL. GRZYBOWSKI 2



PROJEKTUJE I WYKONUJE
WNĘTRZA I WYSTAWY

TYDZIEŃ KULTURALNY

KRONIKA

Film

Filmy dokumentarne

HISTORYCY

W drugiej połowie maja odbyło się w Łagowie Lubuskim 10-letnie zgrupowanie Polskiego Towarzystwa Historycznego. Wybrano nowy zarząd z prof. Tadeuszem Manteufflem, jako prezesem. Uchwalono solidarność z apelem sztokholmskim oraz protest przeciwko usunięciu prof. Joliot-Curie z komisji do spraw atomowych. W części naukowej konferencji przedyskutowano sprawę periodyzacji dziejów Polski. Zainicjował dyskusję referat prof. Arnolda, poświęcony założeniom marksistowskiej periodyzacji dziejów.

DLA DZIECI

W ślad za konkursem zamkniętym na dramaty współczesny — Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło konkurs na pełnospektaklowy utwór sceniczny dla teatru lalek i młodego widza. Sztuka o tematyce dowolnej winna odpowiadać współczesnym założeniom sztuki socjalistycznej i współczesnym problemom pedagogicznym. Zaproszono do udziału w konkursie około 50 pisarzy, m. in. Wandę Grodzieńską, Janinę Porazińską, Lucynę Krzemieniecką, Wojciecha Żukrowskiego, Jerzego Andrzejewskiego.

FILMIA

NOWE I STARE

Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mariańskich Łąkach i Karolowych Varach będą demonstrowane obrazy polskie: „Czarczy Zleb”, „List górnik”, „Szeroka droga” i szereg filmów oświatowych, naukowych i wychowawczych.

Przy okazji warto skierować pod adresem dyrekcji Filmu Polskiego pytanie: kiedy ujrzemy nareszcie tak reklamowanego, już przed rokiem wyświetlanego na międzynarodowych festiwalach filmowych, „Robinsona Warszawskiego”, o którym redaktor „Trybuny Ludu” Jaszcz. napisał w „Dzienniku Literackim”, iż jest to film o klasę polityczną i artystyczną doskonałszy od „Domu na pustkowiu”. Ten ostatni już widzieliśmy, oceniliśmy go negatywnie. Domagamy się by obietnica dana publiczności licznymi reklamami, reportażami w „Filmie” itp. anonsami — odnośnie „Robinsona” — została wreszcie wypełniona.

„STARE I NOWE”

Ukazało się węgierskie tłumaczenie książki Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe”. Z okazji Zjazdu Literatów ukazać się ma drugi tom „Stare i nowe” oraz luksusowe wydanie obu tomów.

Ukazało się ostatnio szereg cennych wzmianek i nowości. Z wzmianek wymienić należy: „Smugę cienia” Conrada, I tom pism wybranych Zapolskiej zawierający m. in. „Moralność pani Dulskiej”, 10 następnych tomów zbiorowego wydania pism wszystkich Sienkiewicza (wydano obecnie 4 tomy „Ogniem i Mieczem” i 6 tomów „Potopu”), T. T. Jeża „Hercog słowiański”, popularne wydanie (1200 zł całość w dwóch tomach) Marii Dąbrowskiej „Dni i nocy”, Stendhala „Lucjan Leuwen”, w znakomitym przekładzie J. Rogozińskiego, Zoli „Kłęska” Bernanosa „Pamiętnik wiejskiego proboszcza”. Z nowości ukazała się świetna powieść Hansa Fallady — niemieckiego pisarza — „Każdy umiera w samotności” (rzesz dzieje się w Niemczech w latach 1940—43) oraz sławną wojenną powieść Ilii Erenburga „Burza”. Obie ostatnie pozycje niebawem omówimy szerzej.

Natomiast powtórne wydanie „Pani Bovary” w dalszym ciągu nie zawiera informacji ani o osobie doskonałego tłumacza (nowy przekład), ani nazwiska przedmowy (J. P. — ?). „Książko i Wiedzo”. — Tak nie można!

Basil Wright pisząc o filmie dokumentarnym i cytując szereg popularnych definicji określających jęcia filmu dokumentarnego zwraca uwagę na jedną z owych definicji, która brzmi: „Film dokumentalny jest artystyczną interpretacją rzeczywistości”. Z tego ujęcia wynika — twierdzi Wright — że mimo że nie jest ważne w jaki sposób zdefiniuje się mniej lub bardziej precyzyjnie pojęcie filmu dokumentarnego należy wyraźnie określić czemu służy, jaka jest jego rola.

Nazwą filmu dokumentarnego określa się zarówno filmy opisowo-kronikarskie, instruktywne, oświatowe, naukowe, krajoznawcze itp. Nie jest ważne jak określimy typ filmu, który będziemy obejmować wspólnym terminem. Istotą zagadnienia polega na tym, aby sprecyzować metodę traktowania problemu informowania ogółu; zdać sobie sprawę z potrzeb i zagadnień. Koncepcja, na której teoria filmu dokumentarnego musi się oprzeć jest związana z koncepcją „wszystkich znanych środków informowania ogółu”. Związana jest z potrzebą wspólną wszystkim ludziom zdobycia wiadomości i wyrobienia sobie opinii o otaczającym ich świecie. o zagadnieniach politycznych, społecznych, z potrzebą poznania i osądzenia spraw innych ludzi i innych społeczeństw.

Film jest z racji swoich możliwości technicznych jednym z najbardziej sugestywnych środków ekspresji. Sprawy interpretowane wyraźnie w filmie dają silne wrażenie bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością, kształtują opinię niemal tak samo jak konkretne przeżycie pokazywanych sytuacji. Z tych faktów jego twórcy muszą wyciągnąć wnioski. Film dokumentarny nigdy nie rejestruje jedynie wydarzeń ale przez ich zestawienie, przez wybór, zawsze je interpretuje. Twórca nie może mieć jedynie założeń obserwatora ale musi wyrazić wiedzę jak chce oddziaływać materiałem, którym rozporządza. Musi wyraźnie wiedzieć komu i co chce powiedzieć. Jasne wydaje się, że film popularno-naukowy musi mieć wyraźnie oznaczonego odbiorcę, że inaczej musi być potraktowany temat jeśli odbiorcą mają

być uczniowie w szkołach, inaczej jeśli ma służyć najogólniej pojętej popularyzacji zagadnienia i inaczej wreszcie jeśli jest przeznaczony dla specjalistów w danej dziedzinie. Należy sobie zdać jednak sprawę, że ustalenie adresu filmu jest równie ważne wtedy kiedy oświatowo instruujący charakter problematyki nie narzuca liczenia się z kręgiem odbiorców.

Grierson, jeden z pionierów filmu dokumentarnego, pisząc o zagadnieniu wpływu i roli filmu dokumentarnego bardzo wyraźnie podkreśla, że czynnikiem decydującym nie tylko o słuszności i wpływie, ale i o artystycznej wartości jest wyraźne zaznaczenie pozycji realizatora, jasne ujawnienie jego koncepcji i jego interpretacji pokazywanych faktów. Artystycznie bowiem rolę analogiczną do fabuły w filmie fabularnym pełni w filmie dokumentarnym jego zawartość ideologiczna.

Twórcy filmów dokumentarnych powinni nie tylko zdawać sobie sprawę z wpływu, który mają na mobilizowanie opinii społeczeństwa, ale także muszą liczyć się z potrzebami i zainteresowaniami, muszą planować swoją pracę, powinni mieć wpływ na dystrybucję filmów. Wydaje się, że system chaotycznego doczepiania do programów długometrażowych filmów dokumentarno-oświatowych (zjawisko typowe w sytuacjach gdzie decydują względy handlowe) jest jaskrawo niesłuszny wtedy, kiedy prowadzi planową i celową akcję wyboru repertuaru. Jeśli precyzuje się i docenia rolę filmów dokumentarnych należy z tego wyciągnąć wszystkie wnioski i wyciągnąć je na wszystkich szczeblach i realizacyjnych i dystrybucyjnych. Zainteresowanie krótkometrażówkami jest w Polsce duże, świadczy o tym powodzenie wszelkich programów składowych, a materiały filmów, które są już opracowane, jest dość bogaty na to aby je rozprowadzać planowo. Wydaje się, że w bezplanowości rozprowadzania nie ma już przyczyn wynikających z trudności technicznych a jedynie z jakiegoś niedoceniaenia roli wychowawczej filmu dokumentarnego.

LESZCZ.

Komunikat prasowy o Słowackim

Od wielu miesięcy trwa w całym kraju zainicjowana przez Komitet Roku Juliusza Słowackiego oraz Biuro Obchodów Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki akcja obchodów ku czci poety w 100-tną rocznicę jego śmierci.

Wprawdzie inauguracja Roku Słowackiego nastąpiła w kwietniu ub. r. lecz imprezy zeszłoroczne poza uroczystościami w Warszawie, Poznaniu i Krakowie oraz bogatym repertuarem teatralnym sztuk Słowackiego zostały celowo przełożone na okres wiosenny i letni bieżącego roku, wskutek przeciążenia terenu masowymi obchodami ku czci Mickiewicza, Puszki i Chopina.

Z tego względu początek akcji w terenie w skali masowej przypada na kwiecień br.

Dotychczasowe obchody Słowackiego są prowadzone przez akcję wydawniczą, odczytową, imprezową i wystaw.

WYDAWNICTWA

W zakresie wydawniczym najcenniejszą pozycję stanowić będzie Zbiorowe Wydanie Dzieł Juliusza Słowackiego pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego i J. Kleimera, które ukaza się w najbliższym czasie nakładem Ossolineum. Z innych wydawnictw jubileuszowych poza licznymi wznowieniami utworów poety, na specjalną uwagę zasługuje opracowany specjalnie starannie przez dr. Saloni-Kulczycką wybór poezji Słowackiego wraz z popularną i obszerną biografią wydany przez CRZZ. W najbliższym czasie zostanie wydany na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki wybór utworów i listów poety pod redakcją P. Hertza.

Obecnie w przygotowaniu znajdują się plansze rotograniowe, ilustrujące życie i twórczość Juliusza Słowackiego na tle epoki. Plansze, zawierające popularną legendę i cytaty z dzieł poety, zostaną rozesłane do szkół i świetlic.

Również w przygotowaniu znajduje się zbiór wieczornic Słowackiego, przeznaczony do inscenizacji świetlicowych.

Ponadto nakładem Komitetu zostały wydane pocztówki i portrety poety i rozprowadzone po całym kraju.

AKCJA ODCZYTOWA

W akcji o charakterze naukowym i literackim czynny udział wzięły

uniwersytety, towarzystwa naukowe oraz Okręgowe Oddziały Zw. Literatów. Szczególnie liczną frekwencją cieszył się cykl odczytów o Słowackim zorganizowanych przez Uniwersytet Wrocławski.

TEATRY

W 7 większych ośrodkach kulturalnych kraju zostały wystawione sztuki dramatyczne Słowackiego. Teatry warszawskie wystawiły „Fantazego” i „Mazepę”, krakowskie — „Marię Stuart”, „Beniowskiego” i „Mazepę”, na wybrzeżu — „Marię Stuart”, dolnośląskie — „Mazepę”, Bielsk — „Fantazego”. Rozgłosza Krakowska Polskiego Radia nadała „Balladynę” w radiofonizacji Jerzego Bernarda Bujańskiego. Obecnie duże zainteresowanie wzbudza wystawienie „Balladyn” w reżyserii B. Dąbrowskiego, zapowiedziane w czerwcu br. w Krakowie.

Ważne zadanie wykonawcze spełni zespół teatru Nowego w Warszawie, który na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki objedzie z montażem o Słowackim szereg podmiejskich ośrodków przemysłowych i zorganizuje przedstawienia w Warszawie, przewidziane wyłącznie na użytek środowisk robotniczych i szkolnych.

Podobny charakter mają akcje Państwowego Teatru w Lublinie oraz działające na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki zespoły ARTOS'u i Żywego Słowa Czytelnika, operujące niemal wyłącznie na wsł i w ośrodkach fabrycznych. Przewidywana ilość imprez poświęconych Słowackiemu, organizowanych przez ARTOS i Żywe Słowo — wyniesie około 1.100.

RUCH AMATORSKI

Wielką wartość społeczno-wychowawczą w zakresie upowszechnienia wiedzy o poecie mają, zainicjowane przez Biuro Obchodów Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki, konkursy recytatorskie i inscenizacyjne utworów Słowackiego. W konkursie recytatorskim biorą udział wszystkie województwa i większość organizacji masowych, w konkursie inscenizacyjnym — wykwalfikowane zespoły amatorskie związków zawodowych i szkolne na terenie województw śląskiego, gdańskiego i lubelskiego. Eliminacje powiatowe konkursów recytatorskich odbyły się w kwietniu i maju br., finały wojewódzkie — w czerwcu. Dotychczasowo

we eliminacje wykazały staranne przygotowanie uczestników i nadspodziewane żywe zainteresowanie poezją Słowackiego.

Niezależnie od konkursów — związków zawodowe w niektórych okręgach, szkoły i organizacje młodzieżowe wystąpiły z licznymi inscenizacjami dramatów Słowackiego, szkoła ogólnokształcąca w Mławie wystawiła „Balladynę”, amatorski zespół świetlicowy w Nowym Dworze „Mazepę”, w Krasnymstawie — „Lillę Wenedę”. Dotychczas odbyło się około 1000 pokazów świetlicowych.

WYSTAWY

W roku ubiegłym, w Bydgoszczy, Wrocławiu, Kórniku, zorganizowano wystawy rękopisów i pierwodruków dzieł Słowackiego, a Komitet Obchodów zmontował 3 wystawy popularne, ilustrujące życie i twórczość poety, w ramach wrześniowego Kiermaszu Książki w Warszawie.

Od początku bieżącego roku trwają prace przygotowawcze nad organizacją Wielkiej Wystawy Słowackiego, która zostanie otwarta w czerwcu br. w salach Muzeum Narodowego w Warszawie, a na jesieni przewieziona do Krakowa, Wrocławia, Poznania.

Ze względu na doniosłe zadanie, jakie ma spełnić Wystawa Słowackiego — Biuro Obchodów Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki powołało jeszcze w zimie br. specjalny Komisariat i Biuro Wystawy celem zebrania materiałów i opracowania scenariusza.

Impozująca ilość zgromadzonych eksponatów, wśród których znajdują się rękopisy, pamiątki osobiste i ryciny, zupełnie dotąd nieznanie nawet wybitnym specjalistom, pozwalają przypuszczać, że Wystawa stanie się największym osiągnięciem obchodów Roku Słowackiego.

Do równie poważnych zamierzeń należy zaliczyć projekt budowy pomnika poety w jednym z nowopowstałych osiedli robotniczych Stolicy.

Wydawnictwa, imprezy, konkursy amatorskie, wystawy i budowa pomnika — oto zasadnicze typy akcji obchodów, których nasilenie jest przewidziane w lecie br. Zarówno formy, jak i masowy obecnie charakter imprez świadczy wymownie o wzrastającym kulcie wielkiego wieszcza narodowego w Polsce Ludowej.

Studium przekładowe Penclubu

Na ósmym wykładzie Studium Przekładowego Penclubu mówił S. Furmanik o „Paradoksach przekładu”.

Prelegent scharakteryzował ogólnie istotę dzieła sztuki, której używanie zależy od używającego i od przedmiotu sztuki. Pewne jej dziedziny, jak muzyka, plastyka, przemawiają wprost, nie potrzebując pośrednictwa. Dzieło literackie, pisane w obcym języku, wymaga pośrednika, którym staje się tłumacz.

Dzieło literackie jest niezmiernie skomplikowanym procesem twórczym. Narzędziem oraz materiałem, którym pisarz się posługuje, jest język. Dzieło literackie w odróżnieniu od innych dzieł sztuki ma odrębną, bardzo skomplikowaną strukturę. Stanowią ją trzy czynniki, określone przez prelegenta jako „warstwy”: foniczna, znaczeń słownych i sensu zdań, oraz najważniejsza, przedstawień. Pierwsza przemawia rodzajem swej treści wizualnej i wzrokowej. Dla trafnego, wiernego oddania tego rodzaju treści nie wystarczy tłumaczowi najlepszy słownik, bo samo słowo najmniej tu znaczący. Pisarz bowiem nadaje mu dopiero właściwe znaczenie, ustawiając je w kontekście. W obu tych warstwach słowo, jako narzędzie pisarza, posiada swą dynamikę i ekspresję. Ważną rolę gra tu również

rytmika i intonacja, która może wpłynąć na treść znaczeniową. Obie „warstwy” wymagają od tłumacza wycucia artystycznego i trafnego zrozumienia myśli autora. Trzecia „warstwa” przedstawień interesuje przede wszystkim czytelnika. Dobry tłumacz musi znać strukturę utworu literackiego, aby przekład spełniał we właściwy sposób postulaty mieszczące się w „warstwach” i odpowiadał zasadniczym wymogom przekładu.

Prelegent omówił i scharakteryzował w oparciu o przykłady, zasady wierności przekładu w poezji, gdzie szczególne znaczenie posiadają skrojzenia rytmiczne, rymowe i wersyfikacyjne.

Świetnie czasem rytmicznie, fonetycznie i wersyfikacyjnie tłumaczenie, jest często znaczeniowo mniej wierne. Jednak taka na wysokim artystycznym poziomie stojąca dowolność i swoboda sprawia, że utwór tłumaczony staje się dla czytelnika w jego ojczystym języku bliższy i bardziej zrozumiały. Czasem bywa odwrotnie. Tłumacz „przekalkowując” wiernie, nawet ślepo, oryginał, odbiega od formy, ale dzieje się to czasem z korzyścią dla utworu. Na tym polega paradoksalność przekładu, dla którego decydujące, największe znaczenie ma właściwe wycucie artystyczne.

Copisza inni...

Sprawa Jaśka Browarczuka

(dalszy ciąg ze str. 7)

Przez wiele wieków humanistyka europejska miała swój punkt wyjścia w filologii klasycznej. Na terenie nauki o świecie antycznym wykonywano nowe prace metodologiczne, zauważano nowe problemy, odkrywano prawa rozwoju kulturalnego, które potem przenoszono na dzieje nowożytne. W naszych czasach ten słownek się zmienił, w czym jedni upatrują postęp, inni — smutne zaniedbanie. Pozostaje faktem, że humanistyka na ogół wyemancypowała się spod hegemonii filologii klasycznej.

Wydaje się jednak, że świat antyczny jako teren badań humanistycznych powinien nadal utrzymywać swoje mocne stanowisko, również jako arcyciekawym teren naukowych eksperymentów. Dlatego z wielkim zainteresowaniem śledzimy próbę przeniesienia pewnych osiągnięć socjologicznej metody badań literackich na teren literatury antycznej. Właśnie jeden z ostatnich wydanych numerów „Meandru” (V, 1) przynosi bardzo ciekawą rozprawę prof. Mariana Plezi, zatytułowaną skromnie: „O niektórych czynnikach społecznych i narodowych w dziejach literatury rzymskiej”. Autor rzuca cały rozwój literatury rzymskiej na tło szeroko podmalowanych stosunków ekonomicznych i wykazuje liczne związki łączące zjawiska kulturalne z przemianami życia społecznego. Zwraca uwagę na kulturotwórczą rolę walki o postęp społeczny; charakterystycznym przykładem jest tu spisanie prawa XII tablic, które stało się najdonioślejszym historycznie zabytkiem starej prozy łacińskiej. „Otóż z naszego punktu widzenia nie jest obojętną rzeczą, że zabytek tej wagi zawdzięczał swe powstanie walce warstwy upośledzonej społecznie o częściowe przynajmniej zrównanie jej praw z warstwą przewodnią przez wprowadzenie i ogłoszenie jednolitego dla wszystkich prawa. Walka ta była więc niepokojem płodnym, przynoszącym ze sobą nie tylko postęp społeczny, lecz i ogólny rozwój kulturalny, a wraz z nim i literacki”.

Jednym z najciekawszych świadectw społecznej funkcji literatury jest rozwój dramatu rzymskiego. Dramat ten oparty na wzorach greckich, ale przynoszący wiele nowych wartości (Plant), rozwija się na tle pomyślnej ewolucji społecznej w wyniku zwycięskiej walki plebejuszów o swoje prawa. Upadek teatru rzymskiego wiąże się natomiast z zachwianiem równowagi socjalnej po wojnach punickich, które przyniosły proletaryzujący stan średniego kosztu fantazyjnego wzbogacenia arystokracji. „Teatr, który na przełomie III i II w. był jeszcze teatrem ogólnonarodowym, służącym upodobaniom zarówno warstw wyższych jak i średnich, czy nawet uboższych, podczas kiedy już w połowie II w. zaczął się stawać teatrem wyłącznie na usługach warstwy wyższej, która sprzykrzyła sobie wreszcie przeróbki sztuk greckich i skromne dosyć próby dramatu narodowego — i twórczość dramatyczna zamarła powoli”.

Innym interesującym zjawiskiem jest analiza dekadencji arystokratyczno-mieszczańskiej literatury w II wieku po Chr.: literatura ta stawała się coraz bardziej elitarna, coraz bardziej zamknięta wewnątrz jednej warstwy społecznej, która dostarczała jej nie tylko twórców, ale również niemal jedynych odbiorców.

„Nic więc dziwnego, że gdy przewróty polityczne i gospodarcze podcięły podstawy, na których opierała się długoletnia świetność tej warstwy, literatura będąca jej tworem zaczęła rychło wędznąć i zamierać wiodąc tylko w niektórych ośrodkach kaleki żywot bez sił do podniesienia się i nowego rozkwitu”. Te społeczne kryzysy kulturowe potrafiła przezwyciężyć literatura chrześcijańska, która bez względu na pochodzenie społeczne swych twórców przemawiała do całego społeczeństwa a zwłaszcza do warstw ludowych. „Dopiero tak umocniona od wewnątrz i na nowo wrośnięta w życie społeczeństwa literatura łacińska mogła wyjść na spotkanie wieków średnich i w kontakcie z nowym, barbarzyńskim światem nie tylko nie zginąć, lecz przekazać mu wraz ze świeżym dorobkiem chrześcijańskim najcenniejsze zdobycze kultury antycznej i stać się tym sposobem na długie wieki wychowawczynią przyszłej Europy”. Wybrane przez nas fragmenty rozprawy prof. Plezi nie wyczerpują oczywiście jej bogatej problematyki, ukrytej pod skromnym tytułem.

Na podobne szlaki badania ekonomicznych uwarunkowań literatury prowadzi nas zamieszczona w tymże numerze praca Stefana Oświecimskiego p. „Starożytność szlaki cyny (Do ekonomicznych źródeł genezy poezji

homeryckiej)”. Autor zdaje sprawę z wydanej w 1948 roku książki francuskiego uczonego Emila Mireaux pt. „Les Poèmes Homériques et l'histoire Grecque”, który wysunął bardzo ciekawą koncepcję związania genezy Iliady i Odyssei z ekonomiczną walką o cynę (ówczesny odpowiednik — złota): „Mireaux widzi w poematach Homera jedną wspólną ekonomiczno-polityczną ideę: uświetnienie czy rozreklamowanie dwóch symetrycznie położonych na dwóch krańcach świata helleńskiego, głównych punktów węzłowych, którym przypadło w udziale stanąć na straży dwóch przeciwnych szlaków handlowych cyny (Troja oraz Korcyra-Scheria). Ta koncepcja, o ile jest słuszna, może stanowić bardzo cenny przyczynek do genezy poezji homeryckiej, ale w ostateczności tłumaczy ona tylko drobną część zagadnienia — o narodzinach ideowej zawartości Iliady i Odyssei mówi nam bardzo niewiele. Dlatego nieuzasadnione jest stanowisko autora artykułu, który wbrew samemu Mireaux uważa jego teorię za materialistyczną interpretację powstania eposu Homera. My o tym zupełnie nie jesteśmy przekonani. Hipoteza Mireaux nie jest w żadnym razie argumentem za słusznością marksistowskiej tezy o nadbudowie kulturalnej.

Z. K.

Sine ira

PORACHUNKI

Znane są historie wielkich i gwałtownych sporów pomiędzy intelektualistami w epoce Renesansu, np. walka Sigonia z Robortellem w Padwie lub Ramusa z Charpentierem w Paryżu. Ci zapalczywi faccy nasiłali na siebie serytobójców, rzucając mordereze wyzwania oraz jadłem i żółcią pisali zjadliwe pamflety. Historia się powtarza. W ostatnich tygodniach czytelnicy polscy śledzą gwałtowną walkę między Kisielcem a Zygmuntem Lichniakiem. Rzecz jasna, wszyscy domyślają się, że odgłosy prasowe są tylko echem tego dramatycznego sporu. Z ręką na sercu trzeba przyznać, że agresorem jest Kisiel, który wezwał na pomoc Cézanne'a, Anatola France'a, Mauricego Ravel'a, Platona, Arystotelesa, Augustyna, Tomasza, Hegla, Marksa, Leibniza i Kartezjusza. Zdawałoby się, że dwa felietony pod rząd zamieszczone w „Tygodniku Powszechnym” zaspokoją choć na razie jego pasję. Ale gdzie tam! Złowroga postać Zygmunta Lichniaka zastąpiła do podświadomości krakowskiego felietonisty. Felieton „Porachunki drobne” jest żałosną próbą wyzwolenia się od dręczącego go widma. Że niby nigdy nic, że będzie pisał o niczym, o listach, o psim ogonie, o filologicznej krytyce tekstu, o meczu Polska — Węgry, o tekstach piosenek. Wszystko na próżno! Lichniak co chwila wyłania się z mroków podświadomości i jawi się — a propos les bottes: „lichniakomachia... antylichniakomachia... lichniakim... Apage satanas! — Czym to wszystko się skończy? Dziwny niewytłumaczalny spokój Lichniaka powiększa tylko niepokój jego znajomych.

Drudzcy panowie, a może być'e tak poszli razem na wódkę? Po kilku kieliszkach różne sprawy wyglądają inaczej. A wtedy może przyjdzie nam

ochota wnieść toast za zdrowie nie-szczęśliwego czytelnika.

Z. K.

LEKTURA UZUPEŁNIAJĄCA

Ob. Andrzej Wasilewski, ujawniając czytelnikom „Po prostu”, autorstwo napastliwej notatki na artykuł Stommy w „Znaku”, nie omieszkał obdarzyć mnie szeregiem życzliwych rad w związku z artykułkiem, jaki na ten temat zamieściłem w „Dziś i Jutro”.

Mile zażenowany troską o moje wykształcenie, która wykazuje p. Wasilewski przesyłając mi spis lektury dokształcającej nie mogę nie podziękować mu także za lekcję poglądową, jakiej przy tej okazji udzielił wszystkim, którzy zapoznali się z jego artykułem. Wypowiedź ob. Wasilewskiego jest bowiem doskonałą ilustracją, jak można dotknąć wielkich problemów współczesności w sposób jak najbardziej nierzeczyzowy, omotując klasycznie własną argumentację po to, by czytelnik nie mógł zrozumieć, a przeciwnik został położony na obydwa łopatki „argumentem”, że pewnie nie nie czytał i jest kiep. Doskonała metoda polemiki, jeśli się nie chce nic wyjaśnić.

Czuje się również w obowiązku rozwiać złudzenia p. Wasilewskiego, jakobym tak bardzo pomógł mu zestawiając jego notatkę z cytatem z artykułu Stommy. Niech tu już w stawianiu kropki nad i wyreczy p. Wasilewskiego sam czytelnik, który bez większego wysiłku dostrzeże, że w przedstawianiu też Stommy a w szczególności ich argumentacji wykazał p. W. lojalność dość podejrzanego gatunku.

P. Wasilewski napisał bardzo uczenie i bardzo niezrozumiale o filisterstwie itp. Wszystko to bardzo ładnie tylko że mimo wyrażanych co

Na dole zegar wychrobał ósmą. W pokoju było czerwono, tylko po kątach gnieździły się cienie.

— Jasiek — powtórzyła.

Drgnął nagle. Spojrzał na nią. — Czego mama chce? Niech się mama odcepi — zachrypiał, gdzie się przeziebił.

— Jasiek! — postąpiła ku niemu zdziwiona.

— Won!

Zerwał się, usiadł na skraju łóżka i patrzył na Browarczuka nie normalnie rozszerzonymi, zaczerwienionymi oczami.

— Widzi pan...

Nierada wycierał okulary kraciasłą chustką, mrugał oczami.

— Widzi pan — powtórzył — oni tam o niczym nie wiedzą. A dopominają się od miesiąca.

Siedzieli w małym, wybielonym pokoiku na plebanii. Przez otwarte okno wiewało się lepkie gorąco południa i zwisały białe chmury, porzecznane pasmami błękitu.

Młody ksiądz Czynieć, barczysty, wiecznie wyrastający ze swojej sutanny, siedział po przeciwnej stronie stołu i bebnął palcami po poręczy krzesła. Romański, włożywszy rękę do kieszeni marynarki kiwał się niedbale na krześle pod ścianą. Tylko Nierada, poważny, przyproszony siwizną, tkwił za stołem sztywno, jakby przewodniczył oficjalnemu zebraniu towarzystwa dobroczynnego. Na chudej szyi chwiała mu się siwa głowa.

— Rozumiem — powiedział Jerzy — po prostu musimy kogoś jak najprędzej wysłać do Kołomyi.

— Pan jest pojętny, panie Jerzy — mruknął ksiądz Czynieć.

Jerzy uśmiechnął się lekko.

— Jestem dłużnikiem — powiedział.

— No, panowie...

Nierada spojrział na nich z nadokularów.

Zamilkli.

— To jest właściwie skandal — zaczął Romański. Bawił się srebrnym łańcuszkiem od zegarka — gdzie są łączniczki, co robi Wanda? Po to one są, żebyśmy nie musieli takich spraw załatwiać domowym sposobem.

— Cholera...

— Nie unście się, panowie — powiedział Nierada — wszystko to wyskoczyło nagle i dlatego tak się

(D. c. n.)

Czytelnik uważa, że...

Z uwagą przeczytałem artykuł „Czescy tłumacze utworów literatury polskiej” oraz inne prace poświęcone przekładom z polskiej i czeskiej literatury i niestety nie

drugie słowo zapewnień, iż wszystko jest już zrozumiałe i jasne, nie udowodnił rzeczowo, z nieco większym zasobem argumentów, że związek między krytyką burżuazją, jako filistrą, a krytyką przeprowadzoną przez Stomę jest tak logicznie oczywisty, jak to niedwuznacznie wyrokuje.

Chcąc, żeby wygłaszane tak apodyktycznie tezy miały siłę argumentu a nie tylko mało przekonującą siłę mocnych słów, trzeba pomyśleć o związku logicznym. Możeby więc do lektury dokształcającej, którą p. W. obdarzył tym razem siebie zechciał włączyć jakiś elementarny podręcznik z zakresu logiki.

dzieje. Jutro rano Kosarski, zna go pan? — zwrócił się do Jerzego — jedzie z K. do L. i od razu zabrał by wszystko. Rzecz w tym, że my mu musimy dostarczyć nasze raporty jeszcze dzisiaj...

Czynieć gładził w zamyśleniu białą ręką swoje gładko zaczesane, jasne włosy.

— Łączniczki pracują — dorzucił — nie można je tak nagle wyrwać, to jest wyjazd poza miasto, do którego i tak nie wszyscy się nadają.

Jerzy oderwał się nagle od ściany. — Jeszcze dzisiaj? — zapytał żywo — mam człowieka.

— To załatwione — rzekł Nierada tonem sumiennego urzędnika — kto taki?

— Edek... Przewietrzy się chętnie, zresztą ma siostrę w Kołomyi

— Swojego zastępcę chce pan użyć za kuriera? — zdziwił się trochę Nierada.

— Papiery są ważne — poparł Jerzego Romański — a jak Edward ma rodzinę w Kołomyi, to i lepiej.

— Zdaży go pan złapać? — spytał Czynieć.

— Wysłali go dzisiaj do Arbeitssamtu, z listami pracowników. Pewnie tam siedzi. Ale postaram się go zawiadomić.

— Ma pan dzisiaj wolne?

— Zwolniłem się na popołudnie, do czwartej będę w domu.

— Zaraz dam panu papiery i wskazówki — stęknął Nierada — ale przedtem jeszcze parę spraw. Na niedzielę zarządzam odprawę. Proszę jeszcze zawiadomić Kalinę. I jeszcze jedno — przysiadł na brzegu krzesła, ocierając spótniałe czoło tą samą chusteczką, którą czyścił okulary. Ton jego głosu stał się jakoś mniej oficjalny. — Bardzo proszę do mnie w sobotę. Obchodzę urodziny — uśmiechał się niezręcznie i mrugał oczami — o szóstej, bardzo proszę.

Pocziwy Nierada starał się zawsze złagodzić swoją sztywność w czasie odpraw po ich zakończeniu. Albo mrugał na księdza i wyjmował z szafki jakieś konfitury i ciasteczki, albo przez chwilę rozmawiał o prywatnych sprawach swoich i cudzych, albo wreszcie, jak dzisiaj zapraszał do siebie, albo zapraszał się do nich.

tm.

A. Włosiński — Częstochowa